CENA 50 GR. 30-III-1935 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

WARSZAWA * SOBOTA * 30 MARCA 1935 ROKU * ROK TRZECI * NUMER 13 (78)

TREŚĆ:

NARODZINY NOWEJ KLASY

I.

Jest rzeczą godną uwagi, że w systemach ekonomicznych spotykamy się przy rozważaniach nad istotą wynagrodzenia za pracę tylko z płacą robotnika fizycznego, reprezentującego czynnik pracy w działalności wytwórczej. Można nie mieć większych zastrzeżeń, że praca ta rozumiana jest jako praca najprostsza, czy przeciętna, i że pracę o większych kwalifikacjach sprowadza się do tej pracy podstawowej jako jej ilościową modyfikację, aby mieć możność formułowania praw odnoszących się do jednej i jakościowo niezróżnicowanej masy pracy. Gdzie jednak w tem upraszczającem ujęciu znajdzie się miejsce dla pracy niefizycznej, ale również zależnej i również stosowanej w gospodarstwie, jaką jest t. zw. praca umysłowa? Można to było uważać za rzecz drobną i pozbawioną ogólniejszego znaczenia jeszcze przed stu czy pięćdziesięciu laty; dzisiaj istnieje już potężna grupa pracowników umysłowych, czerpiących swe wynagrodzenie w przeważnej mierze z zajęć gospodarczych. Jest to uświadomiona grupa społeczna, mająca swą zawodową organizację, przechodząca w okresie przesilenia tak ciężką i uporczywą chorobę, jaką jest bezrobocie. W ogniu przeobrażeń gospodarczych i politycznych może narodzić się z niej nowa klasa społeczna, oparta na poczuciu swej odrębności i pragnąca odegrać rolę w kształtowaniu życia całości.

Nazywają się pracownikami umysłowymi, z czego wynikałoby, że ich wysiłek ma charakter pracy umysłowej. Niewątpliwie tak jest o tyle, że praca ich nie jest równie bezpośrednio związana z procesami technicznemi, jak to ma miejsce przy pracy robotnika w ścisłem tego słowa znaczeniu. Jednak wyróżnianie wysiłku fizycznego i wysiłku umysłowego jest częstokroć zawodne; każda praca fizyczna jest połączona z wysiłkiem umysłowym, i naodwrót pracy umysłowej towarzyszy nierzadko poważny wysiłek fizyczny. Rzecz sprowadzałaby się zatem do ustosunkowania wysiłku jednego i drugiego rodzaju, co pominąwszy wypadki niewątpliwej przewagi jednego z nich, może stwarzać wątpliwości i niejasności; dość wspomnieć o chwiejnych kryterjach stosowanych przez instytucje ubezpieczeniowe, kiedy nie zawsze może być przekonywającem zaliczenie danego pracownika do jednej z tych grup. Istnieją one jednak niewątpliwie w ogólnych zarysach, dlatego też należy sądzić, że podstawą ich jest nie tyle wyróżnienie wysiłku umysłowego i fizycznego, ile odrębność spełnianych przez nie funkcyj.

Każda czynność gospodarcza zawierać w sobie musi dwa elementy: kierownictwo i wykonanie. Dopóki połączone są one w jednej i tej samej osobie, ich współistnienie nie nasuwa żadnych refleksyj, z chwilą ich wydzielenia powstaje pytanie, z jakiego płyną one źródła. Czynności techniczno-gospodarcze jako takie nie zawierają jeszcze w swojej istocie momentu hierarchicznego podporządkowania jednych jednostek drugim; jeżeli, historycznie biorąc, istniało ono w stosunkach dawniejszych, miało charakter podporządkowania społecznego i było związane z danym ustrojem społecznym (organizacja grup o wspólnem pochodzeniu, niewolnictwo, instytucja ludzi półwolnych). Jest rzeczą dla omawianego zagadnienia obojętną, czy nowoczesne formy wytwórczości oddzielające kierownictwo od wykonania przejęły na swój użytek owe dawniejsze stosunki zależności, czy też wytworzyły je same dla swoich celów, gdyż z chwilą powstawania tych form hierarchiczna zależność istniała już w postaci zupełnie skrystalizowanej gdzieindziej, a mianowicie na polu ustroju politycznego. Ten ustrój jest organizacją kierowniczą w stosunku do wszystkich objawów życia grupy społecznej, a w szczególności też do życia gospodarczego; nie chodzi tu o mniej lub bardziej daleko posunięty t. zw. etatyzm, lecz o fakt niewątpliwy, że życie gospodarcze musi istnieć w ramach ustroju wydającego nakazy i formułującego przepisy prawne. Nadrzędność w stosunku do gospodarstwa znajduje wyraz i w tem, że musi ono dostarczać środków utrzymania tym wszystkim, którzy w imieniu organizacji społecznej pełnią funkcje inne, aniżeli gospodarcze. Żyją oni poza obrębem działalności wytwórczej i posiadają swoją własną stopę życiową zawodów niegospodarczych; zawody te obejmują nietylko osoby pełniące jakiekolwiek funkcje publiczne, lecz z biegiem czasu wchłaniają t. zw. współcześnie zawody wolne, należące poprzednio niejednokrotnie do zawodów gospodarczych. Te ostatnie nie partycypują wprawdzie w funkcjach kierownictwa społecznego, przejęły jednak od tych pierwotnych zawodów niegospodarczych stopę życiową.

Kiedy w ustroju gospodarczym coraz większą rolę zaczęły odgrywać przedsiębiorstwa, w których funkcja kierownicza stanowczo i wyraźnie wyodrębnia się od funkcyj wykonawczych, coraz liczniejszemi stają się jednostki, nie biorące bezpośredniego udziału w czynnościach technicznych, kierujące jednak temi czynnościami; ich praca nie jest pracą w sensie pracy wykonawczej, lecz jest zarazem czemś od niej wyższem, jeżeli więc określi się pracę wykonawczą jako fizyczną, to dla kierowniczej nasuwa się nazwa umysłowej, nosząca już sama w sobie znamiona wyższości. Trudno, aby kierownik mógł zawsze sam podołać swoim zadaniom, toteż posługuje się pomocnikami, którzy albo zastępują go w nadzorze i kontroli, albo też wobec osób trzecich (personel handlowy), albo wreszcie dopomagają mu w jego czynnościach kierowniczych (personel biurowy). Powstają w ten sposób liczne rzesze pracowników, którzy wprawdzie sami znajdują się w stosunku zależności, na których jednak pada odblask funkcyj kierowniczych pełnionych przez ich mocodawcę. W porównaniu z tymi, których zatrudnia się bezpośrednio przy czynnościach technicznych, przysługuje im wyróżniające miano pracowników umysłowych.

Pracownicy ci posiadają stopę życiową różną od stopy klas ludowych, a więc i klasy robotników fizycznych; od tej ostatniej jest ona, przynajmniej zewnętrznie, wyższa i pokrewna stopie życiowej innych klas niegospodarczych. Również odmienne musi być ich przygotowanie do wykonywania zawodu pracownika umysłowego; nie leży ono w sferze kwalifikacyj fizyczno-technicznych, lecz polegać będzie raczej na pewnem, chociażby rutynicznem, wyrobieniu umysłowem. Nie są oni wszyscy sobie równi, z konieczności jednak wytwarza się pewien typ przeciętny pracownika, z których jednego można zastąpić drugim; ostatecznie te zajęcia nie wymagają zbyt indywidualnych uzdolnień. Nie wyklucza to, że z pośród ogólnej masy wydzielają się jednostki wyróżniające się od innych i trudniejsze do zastąpienia, podobnie zresztą, jak i przy robotnikach fizycznych; jednostki te nie mogą stanowić o istocie typu, lecz są tylko pewnem jego udoskonaleniem i rozwinięciem, w nich też wyraźniej przejawia sie owo uczestniczenie w funkcjach kierowniczych.

Zatrudnieni w zawodach gospodarczych pracownicy umysłowi związani są z pracownikami zawodów niegospodarczych stopą życiową i rodzajem kwalifikacyj; jest to inna stopa życiowa i inny rodzaj uzdolnień, aniżeli u klas „ludowych", obejmujących również i robotników fizycznych. Stąd też wyróżnianie od „ludu" inteligencji, który to termin w tem znaczeniu tylko u nas jest w użyciu. Wśród umysłowych zawodów niegospodarczych — oczywiście nie należy do nich zaliczać funkcyj z niemi związanych, mających jednak przeważnie charakter pracy fizycznej, jak np, funkcjonarjusze niżsi — istnieją poszczególne grupy o różnym poziomie i o różnym stopniu indywidualizacji, ale i wśród nich wytwarzać się może typ przeciętny; łatwiej to przychodzi do skutku w wielkich działach administracji publicznej, zwłaszcza w epoce rozprzestrzenienia i mechanizacji jej funkcyj, aniżeli w t. zw. zawodach wolnych, wykazujących z natury rzeczy większą różnorodność pod tym względem. W stosunku do zawodów niegospodarczych pracownicy umysłowi zatrudnieni w gospodarstwie stanowią to skrzydło „inteligencji", którego materjalna egzystencja jest zupełnie bezpośrednio uzależniona od pomyślności przedsiębiorstw gospodarczych. Ma to swoje specjalne znaczenie. Gospodarczy pracownicy umysłowi nie mogą osiągnąć takiej stabilizacji warunków materjalnych, jaka najczęściej przypada w udziale pracownikom umysłowym zatrudnionym w administracji prywatnej. Stąd też są oni odłamem „inteligencji" najmniej odpornym i najbardziej zagrożonym przez fluktuację stosunków, a zarazem najpodatniejszym do uświadomienia swej klasowej egzystencji.

II.

Przed stu laty mniejwięcej — data nie może być ścisłą wobec nierównomierności rozwoju gospodarczego w poszczególnych krajach — zjawia się nowoczesny robotnik przemysłowy. Jest on coraz liczniej zatrudniany w wielkich przedsiębiorstwach, które równocześnie przechodzą coraz szybszą ewolucję w kierunku maszynizmu i mechanizacji. Wielkie reformy społeczne, wyzwalające w tej epoce w wielu krajach europejskich ludność wiejską z zależności osobistej, otwierają rezerwoary pracy dotychczas źle lub niedostatecznie zatrudnionej, z których czerpać mogą miasta i przemysł. Pierwsza połowa wieku XIX jest okresem najbujniejszego rozkwitu literatury socjalizującej, występującej z pomysłami reform, które miały naprawić ustrój społeczny, zły i niesprawiedliwy dla biednych. Kiedy koncentracja i mechanizacja przemysłu w połączeniu z szybszym przyrostem ludności zaczęła wytwarzać „rezerwową armję robotniczą", czyli robotnika, któremu grozi zdeklasowanie, umacnia się stopniowo i konsoliduje poczucie klasowe warstwy robotniczej, przyswajającej sobie ideologię reformatorów ustroju współczesnego i zdobywającej uświadomienie klasowe tak w walkach społecznych, jak w ruchach i przewrotach politycznych; proces ten trwa przez cały wiek XIX aż po dni ostatnie.

Narodziny klasy pracowników umysłowych z natury rzeczy muszą być późniejsze. Wielkie masy robotnika przemysłowego tworzą się, kiedy powstają większe i wielkie przedsiębiorstwa; wielka masa pracowników umysłowych pojawi się wtedy, kiedy dostarczy jej miejsca taki rozrost funkcyj kierowniczych przedsiębiorcy, że nie może się on obejść bez pomocy nie jednostek, lecz personelu i biura. Nie pozostaje to bez wpływu na rodzaj zajęć pracownika umysłowego i tego, czego się od niego żąda; trudno go osobiście bez przerwy kontrolować i trudno zostawiać mu większą samodzielność; stąd też konieczną staje się pewna mechanizacja jego funkcyj, oparcie na szablonach i rutynie, co znów ułatwia dostęp dla kogokolwiek o przeciętnych kwalifikacjach. W ciągu wieku XIX odbywa się w organizacji ciał publicznych, a zwłaszcza państwa, niemal analogiczny proces; obejmują one swem działaniem coraz szerszy zakres życia i operują coraz większemi masami ludności. Toteż i w tej działalności publicznej coraz więcej ogólnych przepisów odnoszących się do typowych stosunków życiowych i coraz większa niwelizacja w sposobie ich regulowania; do pełnienia tych zadań wystarcza niejednokrotnie przeciętny, ani lepszy, ani gorszy od drugiego pracownik.

W krajach Europy zachodniej i środkowej kształcenie ludności na poziomie szkolnictwa powszechnego doszło mniejwięcej do stanu nasycenia; jest to poziom wiadomości i umiejętności ogólnych dostępny i wystarczający dla pracownika fizycznego. Dla pracownika umysłowego ten poziom wykształcenia przesuwa się w kierunku szkolnictwa średniego, bądź też — dla pewnych ciaśniejszych grup — wyższego. I jedno i drugie rozwija się stopniowo, dostarczając coraz więcej możliwości dla jednostek pragnących to wykształcenie zdobyć; że jednak nawet przed wojną dalekie one były od stanu nasycenia osiągniętego w zakresie szkolnictwa powszechnego, dowodzi w wielu krajach europejskich (z większych Francja, Niemcy, nie mówiąc już o Polsce) ogromny wzrost liczebności osób studjujących po wojnie w szkołach wyższych. Nasuwa się pytanie, jakie mogą być przyczyny tego nieproporcjonalnie do wzrostu ludności zwiększającego się naporu w kierunku zdobywania szerszego i wyższego wykształcenia. Mogło to być objawem wzmagającego się dobrobytu, jaki naogół przyniósł wiek XIX, a w każdym razie gotowości do ponoszenia większych ofiar, zapewne jednak nie tyle na rzecz bezinteresownego zdobywania wiadomości i wiedzy, ile dla uzyskania innej pozycji społecznej. Byłaby ona wyższą dla jednostek pochodzących z klas ludowych; dla klas średnich pozycją zapewniającą czasem lepsze stanowisko socjalne (w administracji publicznej), a pod względem materjalnym większe zabezpieczenie w porównaniu z wykonywaniem samodzielnego zawodu.

Kiedy zapotrzebowanie na pracowników umysłowych i podaż „głów" do tej pracy przybrały rozmiary masowe, również masowem musiało się stać ich bezrobocie wywołane chwilową lub trwałą dysproporcją popytu i podaży. Na tle ogólnych warunków naszkicowanych powyżej zarysowały się w ostatnich dziesięcioleciach bliższe i bardziej bezpośrednie przyczyny, które wytworzyły współczesne zjawisko bezrobocia pracowników umysłowych, będącego zapewne pierwszem w tych rozmiarach. W czasie wielkiej wojny luki wytworzone przez mobilizację pracowników umysłowych musiano wypełniać przez wciągnięcie materjału gorszego lub dotychczas nieużywanego w takiej skali, jak zwłaszcza siły kobiece. Wracający po demobilizacji pracownicy zastali swoje miejsca zajęte, co czyniło sytuację trudniejszą tam, gdzie przystępowano do szybkiej likwidacji gospodarki wojennej. To przesilenie na rynku pracy umysłowej mogło być odroczone czyto przez odkładanie tej likwidacji, czy też rozbudowywanie aparatu publicznego, naogół biorąc znacznie rozszerzonego w porównaniu ze stanem przedwojennym (reformy społeczne); ten sam wpływ może mieć ożywienie ekonomiczne, jakie od czasu wojny wstąpiło już za dwoma nawrotami. Tem boleśniejszem stało się skurczenie zapotrzebowania pracy umysłowej, towarzyszące obecnemu długotrwałemu przesileniu; w zawodach gospodarczych jest ono odpowiednikiem zmniejszonego popytu na pracę fizyczną, w innych wywołuje conajmniej zamknięcie dostępu dla nowo podrastających sił i staje się bezrobociem kandydatów na pracowników umysłowych. Są więc wszystkie warunki, aby ta klasa, jako zjawisko masowe i mające szeroką podstawę w zbiorowisku jednostek przeciętnych i typowych, uświadomiła samą siebie i stała się podłożem dla aktywnych nastrojów i ruchów opartych na samodzielnym programie.

III.

Aby klasa pracowników umysłowych stała się klasą uswiadomioną, musi zdobyć samodzielną i od innych klas odrębną ideologję. Nasuwa się tu przedewszystkiem możliwość ideologji wychodzącej ze stosunku zależności, w jakiej pozostaje przeważna masa pracowników umysłowych, mimo, że mogą być różne formy tej zależności, dotkliwszej w administracji prywatnej, aniżeli publicznej. Na tej podstawie mogłaby powstać zbieżność z ideologją klasy robotników fizycznych, zwracającej się przeciw wszystkim tym, którzy czyto z tytułu uprawnień publicznych, czy też z tytułu uprawnień prywatnych odgrywają rolę czynników nadrzędnych. I rzeczywiście też podobne tendencje były i są bardzo silne wśród pracowników umysłowych, których organizacje, w niektórych krajach nawet organizacje funkcjonarjuszy publicznych, łączą się z ruchem zawodowym robotniczym. Nie jest to jednak jedyna możliwość; z równą siłą przychodzić mogą do głosu motywy poczucia odrębności w stosunku do robotnika fizycznego.

Pracownik umysłowy uczestniczy w wykonywaniu funkcyj kierowniczych, jakkolwiek daleki może być w szarzyźnie swoich codziennych czynności od uświadamiania sobie ich natury. Byłoby to zresztą wobec nierównie częściej odczuwanego stosunku zależności bez decydującego znaczenia, gdyby nie przyłączał się do tego fakt, że nawet pracownik gospodarczy żyje w innym świecie, aniżeli robotnik fizyczny. Dzieli go od niego stopa życiowa, bliższa stopie wyższych zawodów niegospodarczych, inny rodzaj, jeżeli już nie wyższy poziom, wykształcenia, inny kierunek ogólnych zainteresowań. Z tych odmiennych warunków życia wypływać może inne zasadnicze odnoszenie się do otoczenia. Dla robotnika wielkoprzemysłowego, stanowiącego najbardziej aktywną część świata robotniczego, to otoczenie jest przedewszystkiem bezosobistym kapitałem, utrwalonym w potężnych narzędziach produkcji i kierowanym niewidzialnemi rękami; pracownik umysłowy widzi to kierownictwo, a w każdym razie znajduje się blisko niego. Stąd też w ideologji pracownika umysłowego może wysuwać się na plan pierwszy nie jakaś mniej lub więcej wyraźnie odczuwana koncepcja mechanicznego stawania się, lecz osobistego kierowania przez jednostki.

W konsekwencji inne też może być ujmowanie przez pracownika umysłowego roli i pozycji państwa, jako najdoskonalszego typu organizacji publicznej. W ideologji socjalistycznej i w praktyce ruchu robotniczego państwo jest albo narzędziem wyzysku klas pracujących, albo też narzędziem, które te klasy mogą posiąść i użyć dla spełnienia swoich celów; odpowiadać temu może w ostatecznym wyniku wchłonięcie całego życia przez państwo. Przeciwstawieniem byłaby koncepcja państwa jako organizacji nadrzędnej, w stosunku do której musiałyby istnieć organizacje czy zbiorowości podporządkowane. Stąd już tylko krok do tak niewyraźnej jeszcze dzisiaj idei państwa stanowego. Jako charakterystyczny przykład można przytoczyć poglądy współczesnego ideologa tego kierunku O. Spanna, który wyobraża sobie państwo jako stan jeden prócz innych, a złożony z tych, którzy reprezentują jego organizację. Byłby to już bezpośredni związek z państwem tej grupy pracowników umysłowych, którzy najbliżej odczuwać mogą funkcję kierownictwa, to jest funkcjonarjuszy publicznych. Dlatego też w ideologji tej klasy musiałoby się znaleźć miejsce dla etatyzmu, gdyż tylko szeroko rozwinięte funkcje państwa mogłyby dawać podstawę egzystencji klasie, jako zjawisku masowemu.

Trudno byłoby w chaosie dzisiejszych przeobrażeń zdać sobie sprawę, jaki to miałby być etatyzm odpowiadający ideologji klasy pracowników umysłowych, a w szczególności, czem różniłby się od etatyzmu państwa dotychczasowego i etatyzmu socjalistycznego. Mógłby on zresztą urzeczywistnić się nietylko w ustroju stanowym, lecz również w ustroju korporacyjnym, z ograniczeniem autonomji korporacyj i z podporządkowaniem ich autorytetowi państwa; przy przejęciu przez państwo wogóle funkcji kierowania życiem gospodarczem nawet dążenia do t. zw. gospodarki planowej mogłyby tutaj znaleźć pewne ujście. Bardziej jeszcze nieokreślonym może być związek z ideologją nacjonalistyczną, jaki wykazują w wielu krajach współczesne pokolenia „inteligencji“; mógłby to być wynik przeciwstawiania się międzynarodowości ruchu socjalistycznego, ale też i tendencja do odgraniczania się i zamknięcia, właściwa każdemu ruchowi o silnem poczuciu hierarchicznem. Nawiasem można tutaj dodać, że nadmiar pracowników umysłowych mógłby być zlikwidowany przez zamknięcie dostępu nietylko do pewnych stanowisk, lecz również do studjów kwalifikujących na te stanowiska; i w tym kierunku budzą się dzisiaj pewne aspiracje.

Czy klasa pracowników umysłowych usamodzielni się przez przyjęcie ideologji opartej nie na momencie zależności, lecz na momencie kierownictwa, trudno dzisiaj przesądzać. Zadaniem niniejszych uwag była próba odczytania możliwości, jakie zawiera w sobie tworzenie się tej nowej klasy.

TADEUSZ BRZESKI

„AKADEMJA NIEZALEŻNYCH“

Oto jeden z dobrych, a przepowiadanych, skutków założenia oficjalnej Akademji Literatury: konkurencja, zaszachowanie jej Akademją Niezależnych. Szkoda tylko, że konkurencja tak słaba i nieistotna.

Już sama zasada plebiscytu ogłoszonego przez *Wiadomości Literackie* celem wyboru 15 pisarzy do Akademji Niezależnych, była niemoralna. Głosujący mieli nietylko oddawać głosy, lecz nadto zgadywać ostateczny wynik głosowania, czyli zgadywać zgóry „głos ludu“, zgadywać samych siebie lub też gorszych od siebie. I z tego zgadywania opinij miała się wytworzyć opinja! Szczególny *circulus vitiosus*, ale bardzo charakterystyczny dla mentalności głównego sztabu *Wiadomości*. Demagogja zgóry zasugerowana i nagradzana!

Ale mniejsza o to; może bez perspektywy nagrody nie byliby czytelnicy wogóle głosowali, a może tę nagrodę uważano tylko za okrasę, za loterję, i głosowano tak, jak komu serce dyktowało. Rzecz najważniejsza: trzeba było powiedzieć wyraźnie, jeżeli niezależni, to od kogo niezależni? Od rządu? od BB? od Kadena czy od Słonimskiego? od Zawistowskiego czy od Michalskiego? od swoich tantjem lub dochodów wynoszących po 5000 zł. miesięcznie? od swego auta? od majątku żony lub majątku męża? od wszystkich obozów do koncentracyjnych włącznie? od swego sumienia? od idei czy od doktryny? od swego chlebodawcy czy redaktora? od *Wiadomości Literackich?* Od opinji czy od swojej linji? Od swej przeszłości czy przyszłości? Od głosu wewnętrznego czy od krzyku ulicy? Czy i od prawdy? Czy wreszcie — od Marszałka Piłsudskiego?

Pstry dobór „niezależnych“ świadczy, że sobie z tego sprawy nie zdawano. Szło tylko o to, aby ogródkami powiedzieć Akademji oficjalnej, że o n a jest zależna. Także liczne korespondencje głosujących do redakcji świadczą, że różni różnie tę niezależność pojmują, ale najgęściej w tym nieokreślonym, niby-radykalnym duchu. jaki krzewią *Wiadomości Literackie* a który da się tak streścić:

Kto kiedykolwiek komukolwiek język pokazał, ten jest niezależny. A kto dziś jeszcze psioczy na kler, na belfrów. na T. K. K. T., na Führera i na starą ortografję, ten odrazu idzie wysoko w górę.

Najlepiej było wpierw szczerze przepuścić kandydatów przez taką próbę (filtrową): wziąć ich pod klauzurę i kazać im napisać wypracowanie poetyckie na temat dwóch wiadomych miejscowości w Polsce, a potem te utwory wydrukować. Za czyje plecy chowałby się tym razem „niezależny“ Słonimski, skoro już niema szerokich pleców „zależnego“ dziś Kadena Bandrowskiego? Ale ponieważ numer z temi utworami i takby skonfiskowano, niewieleby się narazili. Niechby więc jeszcze poszli do Ogrodu zoologicznego i odbyli próbę ciągnięcia lwa za ogon, iskania niedźwiedzi i t. d. Stamtąd blisko do mostu Poniatowskiego, pod którym na próbę możnaby się w nocy przespać — bardzo niezależnie.

Bez takich gwarancyj tytuł: Akademja Niezależnych jest tylko żartem karnawałowym i zapewne mocno kłopotał wybranych pisarzy; stawiał ich na szczudła, wydymał ich na strasznych olbrzymów, przyprawiał ostrogi i pióropusze; omal że w tym stroju nie ruszyli z pod Boqueta z widelcami na Belweder.

Pouczające jako materjał literacko-socjologiczny [1] są listy, w których głosujący czytelnicy komentowali swój wybór. Świadczą one o tem, jak łatwo, właśnie w dzisiejszych demokratycznych czasach, nakręcić wszelką pożądaną sobie konjunkturę umysłową, jeżeli ma się do tego odpowiedni instrument i cierpliwość. Oto wzór dla polityków. Z masy listów redakcja wydrukowała przedewszystkiem te, z których można było wykruszyć ziarnka kadzideł dla Boya i Słonimskiego. Tak się odbywa — nie „krążenie elit“ wprawdzie — lecz krążenie kadzidła: jedną stroną wydmuchiwa się je na świat, drugą stroną wchłania się je napowrót. Ktoś proponuje Słonimskiego na prezesa nowej Akademji, ktoś inny oświadcza całkiem na serjo, że pierwszem jej zajęciem będzie wybicie medalu na jego cześć. Pozatem uzasadnienia także wyborem argumentów znamionują szkolę *Wiadomości;* np.: Uniłowski niech będzie sekretarzem za to, że „jednem jedynem ...opowiadaniem o jednym dniu rekruta potrafił narobić zamętu, huczku“. A. przewietrza, B. reaguje, C. jest śmiały, D. znowuż wysoko wznosi jakiś sztandar. Militaryzm literacki.

[1] Dla d-ra E. Frauenglasa, który się zajmuje socjologją opinji; ale może i profesorzy Bystroń i Krzyżanowski nie wzgardziliby tym materjałem. Oczywiście razem z materjałem z dwóch poprzednich plebiscytów.

Trzy są sposoby zajmowania się literaturą: od strony plotki, od strony rang i od strony treści i formy. *Wiadomości* te dwa pierwsze uprawiają namiętnie, zwłaszcza zabawę w rangi. Oto już trzeci plebiscyt, w którym literaci są potraktowani jak sportowcy, osiągają rekordy i punkty. Tym razem było tego już i Słonimskiemu za wiele; napisał: „ta zabawa w stawianie stopni nie budzi mego entuzjazmu“. Ale napisał to już po zakończeniu plebiscytu, który jemu przyznał miejsce drugie, tuż po Tuwimie, gdy Świętochowski ma miejsce 12-te. Przy dwóch poprzednich plebiscytach Słonimski nie miał tego skrupułu. Cóż może mu przynieść czwarty plebiscyt? Jeżeli Tuwim nie przejdzie na łono Akademji „zależnej“, to Słonimskiego nie wywinduje się już wyżej, chyba że się go zacznie forsować do nagrody Nobla.

Ta zaś jest różnica między Akademją „zależną“ a „niezależną“, że gdy w pierwszej są wszyscy *ex aequo*, tutaj skoki w rangach są potężne, i niema mowy o tem, żeby Słonimski, amerykański Chimborazo, wysoki na 9881 głosów, mógł kiedykolwiek poklepać po ramieniu Nowaczyńskiego, taka poczciwą polską Łomnicę na 2725 głosów.

Jedyną sympatyczną stroną zabawy w Akademję Niezależnych było przyznanie Wojciechowi Bąkowi [2] nagrody (2000 zł.) za tomik wierszy *Brzemię niebieskie*. A w tej stronie jeszcze ta dobra stronka, że *Wiadomości* ogłosiły całą dyskusję, która orzeczenie nowych akademików poprzedziła. Koledzy ze starej Akademji na to się nie zdobywają. Ten Bąk to jest może już nie słowik ale młody orzeł; od czasów Leśmiana, Tuwima, Wierzyńskiego, znowu w liryce jeden mocny powiew, nie, wiatr halny. Pojawienie się Dawida w wyspiańskoskiej wsi *(Wikary)* — to groźba, kto wie dla kogo. Tuwima uderza w tomiku Bąka „fanatyzm irracjonalizmu“, ale zdaje mi się, że co do tego „ir“ Tuwim się zawiedzie.

Ale to także pewne, że gdyby „stara“ Akademja była nagrodziła Bąka, nowa nagrodziłaby *Naprawę* Jalu Kurka.

Na tej konkurencji — gdyby ona była istotną — dobrzeby wyszła literatura. To też z komentarzy plebiscytowych najlepiej mi się podoba głos p. W. Ch. z Wilna, który twierdzi, że „projekt Akademji Niezależnych nie został należycie wyzyskany“, że należy odebrać mu „charakter naiwnej demonstracji“, pogłębić go i rozszerzyć, rezultaty skorygować przez zjazd prawdziwych literatów i t. p. No, ale chyba przedewszystkiem dać tej akademji jakąś ideologję, jakiś program, ale tego nie zrobią nigdy, ani nie będą w tem uczestniczyły *Wiadomości Literackie (Skamander)*, które programofobję propagowały od lat 10, które zastępowały kult myśli kultem rang, które ignorowały zasadniczą walkę o Izbę literacką. One takiej nowej Akademji stanowczo nie zorganizują, a i ta próbka, którą stworzyły, powstała tylko w duchu rangostwa i na drożdżach rangostwa. Ci panowie wolą czekać — na zgony.

Póki tak jest, stara Akademja może spać sobie spokojnie.

KAROL IRZYKOWSKI

[2] W *Pionie* z 19 maja 1934 Wł. Sebyła napisał o poezjach W. Bąka z gorącemi wyrazami uznania. *Wiad. Lit.* dopiero teraz go odkryły.

OBYWATEL A PAŃSTWO I KOŚCIÓŁ

Artykuł p. J. E. Skiwskiego p. t. *Wychowanie religijne a wychowanie państwowe (Pion,* nr 2 z r. b.) zasługuje z wielu względów na uwagę.

Przedewszystkiem dlatego, że porusza w sposób stanowczy i śmiały pewne zagadnienia pierwszorzędnej wagi, o których dotąd nie zwykło się mówić *objektywnie i bezstronnie, sine ira et studio*.

To właśnie, że tak przystępuje do tych kwestyj — to wielka zasługa wybitnego publicysty. Czy jednakże rozwiązanie problemu następuje zupełnie poprawnie — to inna sprawa. Jej właśnie chcę tych kilka uwag poświęcić.

Autor bezspornie — mojem zdaniem — stwierdza: „...Kościół katolicki *jest dziś w ofensywie*. Mówiąc to, mam na myśli rozwój Akcji katolickiej, która nic przecie nie znaczy innego, jak przeniknięcie zasad religijnych do *wszystkich dziedzin życia, opanowanie tych dziedzin...*“ A następnie: „Kościół katolicki jest mocarstwem (a zarazem organizacją międzynarodową), liczącem pośród obywateli różnych państw swoich poddanych, prowadzącem *swoją własną politykę*, raz zgodną, innym razem rozbieżną z interesami państw poszczególnych. Że zaś jest w ofensywie. wzrastają więc szanse, iż w wielu wypadkach może wystąpić *wyraźny antagonizm pomiędzy polską a katolicką racją stanu*. W obliczu takiego konfliktu jakże *tragiczne* byłoby położenie obywatela, któremu *wbrew faktom wmawiano*, że ideał religijny jest solidarny z ideałem państwowym“.

Z tem zgadzam się w zupełności, a nawet wydaje mi się, że *człowiek nieuprzedzony* nie może się z tem nie zgadzać. Konkluzje jednakże, jakie p. Skiwski wysuwa z tak jasno narysowanej sytuacji, są nielada — niespodzianką.

„Wyjście — czytamy — jest jedno: pozostawić sprawę rywalizacji ideału państwowego i religijnego — jak to mówią — „życiu“ “.

W takiem postawieniu sprawy upatruję wynik często spotykanego nałogu, w dodatku głęboko zakorzenionego i — mocno szkodliwego. Przecież to nic innego, jak staropolskie: „jakoś to będzie“, a stąd już krok tylko do „dumnej przechwałki“: „Rzeczpospolita nierządem stoi“!

Jakże to, więc autor stwierdza wyraźnie świadomą celów i środków ofensywę Kościoła, a następnie rozbieżność stanowisk polskiej i katolickiej racji stanu poto tylko, by pozostawić sprawę... „życiu“?! Państwo ma zatem zachować się *zupełnie biernie* — według autora — wobec spraw, które nie są i nie mogą być obojętne dla państwa. Kwestje polityki wyznaniowej, czy to na terenie wychowania, czy innym, nie mogą być obojętne w szczególności Państwu Polskiemu, tym jego obywatelom, którzy choć przyznają, że historja jeszcze nikogo niczego nie nauczyła, jeżeli chodzi o projektowanie działań, — niemniej jednak pamiętają, jak to od spraw drobnych (np. dysydentów) rozpoczynają się ciągle znaczniejsze. Tak — malutki kamyk, rzucony w toń jeziora, mąci jego zwierciadło coraz większemi kołami koncentrycznemi.

Przyznać jednak trzeba p. Skiwskiemu konsekwencję do pewnego stopnia. Oto imię państwa — to „imię pewnego bytu idealnego, transcendentnego w stosunku do jednostki“. Skoro zatem państwo jest bytem idealnym (pomijam w tej chwili kwestję istnienia „bytów idealnych“, którą bardzo subtelnie swego czasu rozważył prof. Kotarbiński w *Przeglądzie Filozoficznym)*, bytem transcendentnym (a zatem zapewne — *noumenon* kantowskiem), to w takim razie jest *niepoznawalne* i wobec tego — w myśl podstawowej zasady medycznej: *primum non nocere* — najlepiej bieg spraw państwowych pozostawić „życiu“, słowem — „jakoś to będzie“.

Dotąd byłoby wszystko zupełnie konsekwentne. Ale nie do końca. Bo oto czytamy, że „państwo każe swemu obywatelowi umierać“, że „obywatel jest świadomym współtwórcą potęgi państwa“. Za pozwoleniem! — woła w tem miejscu cierpliwy czytelnik — jakże to państwo jest bytem transcendentnym, a może coś „kazać“ obywatelom, a zarazem ci mogą coś dla niego robić? Tak popadł p. Skiwski w sprzeczność wyraźną i niewątpliwą. Mętne pojęcie państwa dobrzeby było wyrugować wreszcie i uświadomić sobie, że państwo jest *grupą terytorjalną wyłączną z własną podgrupą władzy zwierzchniej*. Wtedy — bez obawy uwikłania się w sprzeczność — powiedzieć można, że „obywatel — coprawda nie każdy — jest świadomym współtwórcą potęgi państwa“.

Określiwszy sobie, co to jest państwo, jakie są jego zadania (przedewszystkiem stworzenie spokoju i bezpieczeństwa, umożliwiającego współżycie jednostek i rozwój kultury), możemy przejść do zagadnienia postulatów państwa w zakresie wychowania. Czy postulaty te pokrywają się z takiemiż Kościoła? Obok wskazanej już powyżej rozbieżności (Kościół katolicki — organizacją międzynarodową), nie można też pominąć odmienności postaw. Kościół, jego „ideologja“ nastawiona jest na życie „pozagrobowe“, — jako cel naczelny życia doczesnego. Potrąca ten moment i p. Skiwski: „katolicyzm, oparty na wierze w życie pozagrobowe, głoszący, że życie człowieka nie kończy się na ziemi, może uczynić dla człowieka śmierć nietylko znośną, ale nawet radosną“. Pomijam tu fakt ten, że Kościół niejako przygotowuje człowieka do życia przyszłego, przez co moment śmierci wysuwa na plan pierwszy, podczas gdy państwo

dba o życie doczesne obywatela, — i o nie przedewszystkiem. I to trzeba sobie uprzytomnić, wobec częstego lekceważenia takiego aspektu, iż bohaterstwo życia jest *nieraz* większe, niż heroizm śmierci dla państwa, kiedyto czyn wymaga „tylko" jednorazowego poświęcenia się. A szara, mozolna praca zawodowa każdego obywatela jest dla państwa równie cenna i niezbędna: policjanta z narażeniem życia ścigającego bandytę, jak ministra, lekarza niosącego pomoc zakaźnie choremu, jak konsula, który roztacza opiekę nad obywatelem zagranicą.

Postawa katolicyzmu jest inna: odwraca on poniekąd uwagę od pracy kulturalnej (w najszerszym sensie), gdyż koncepcja „prostej i nabożnej duszyczki", tej, dla której jest „niebo", jest zgoła inna, niż ta, którą państwo może podjąć: człowieka wartościowego nietylko zresztą ze względu na stwarzane przezeń wartości objektywne, lecz i na podniesienie własnego poziomu moralno-intelektualnego. Kościół podporządkowuje życie doczesne — życiu przyszłemu. (Możnaby, oczywista, dowodzić i tez przeciwnych, ale wątpić należy, czy uzyskałyby one aprobatę miarodajnych znawców dogmatyki kościelnej, np. gdyby ktoś ze zdania „milszy jest Bogu jeden nawrócony grzesznik etc." wnioskował, że „dobrze jest pogrzeszyć", gdyż to jedyny sposób zdobycia „większej" zasługi przez nawrócenie).

Państwo dla spełnienia swych celów musi sobie zarezerwować pewien *wyłączny* zakres działania. Dlatego też nie może zezwolić, by jakaś organizacja religijna, która ma szeroki zasięg planów, wkraczała w sferę wpływów państwowych. Nietylko zresztą dlatego, że odmienność postaw i celów z konieczności wyznacza zgoła różne stanowisko w indywidualnych wypadkach. Państwo jako grupa nadrzędna ma zadania swoiste. Skoro na społeczność państwową składają się obywatele różnych wyznań i bezwyznaniowi, to ten fakt dla podgrupy odpowiedniej władzy nie może być obojętny.

Tu wyłania się kwestja nawyków myślowych z okresu zaborów. Myślimy jeszcze ciągle kategorjami narodowości, wyznań, a nie *państwowości*. Polak — to obywatel polski, podobnie jak nazwy: Francuz, Szwajcar, Amerykanin (Stany Zjedn. A. Płn.) i t. d. oznaczają obywateli tych państw. „Polak" — w ustach wielu dziś jeszcze kojarzy się nieodzownie z wyznaniem rzym.-kat., a przecież np. ewangelicy są *równie* dobrymi Polakami. Polska racja stanu wymaga wobec faktu wielowyznaniowości — polityki państwowej *nadrzędnej*, a nie podporządkowanej jednemu wyznaniu, chociażby najliczniej reprezentowanemu. Państwo musi podkreślać to, co obywateli łączy, scala, jednoczy, a nie to, co dzieli. Wyznanie jest rzeczą *prywatną* obywatela i organizacje religijne muszą się do tych ram ograniczać. Państwo nie poto stara się o wyrównanie różnic t. zw. przekonań politycznych (rozbicia partyjnego), by podsycać spory wyznaniowe czy narodowościowe między grupami obywateli. Wszystko, co mogłoby osłabić więź organizacyjną państwa, musi napotkać na ostry i zdecydowany jego opór. Stąd więc Rzeczpospolita, idąc za dobrze ugruntowaną tradycją, stoi na platformie szeroko pojętej tolerancji religijnej (autokefalja Kościoła prawosławnego), z drugiej strony baczy jednak pilnie, by pewne zbyt daleko idące apetyty niektórych wyznań nie krzepły w formie przywilejów, które mogłyby spowodować antagonizmy i konflikty między obywatelami, należącymi do różnych grup wyznaniowych.

Tak więc sprawa ta wiąże się z zagadnieniem bardziej podstawowem t. zw. asymilacji lub (lepiej:) *integracji państwowej.*

EDWARD DEMBOWICZ

LWÓW — EMPORJUM HANDLOWE ZIEMI CZERWIEŃSKIEJ



S. JANOWSKI i Z. ROZWADOWSKI Widok Lwowa
z 2-ej połowy XVIII w. (w dioramie W. Dolińskiego)

Sześć zgórą wieków dźwiga na swych barkach owo słynne *propugnaculum totius Reipublicae* — gród kresowy, który w ciągu swego dziejowego rozwoju tyle zaszczytnych otrzymał przydomków — aż do ostatniego najwyższego odznaczenia już za dni własnej państwowości.

Jakkolwiek fundował go przedstawiciel książęcego rodu Romanowiczów — pomimo stuletniej zależności od władzy ruskich książąt — *był zawsze ośrodkiem polskiej myśli państwowej*, zarówno w okresie Bolesława mazowieckiego, jak przedewszystkiem z chwilą przejścia Ziemi Czerwieńskiej pod władzę Kazimierza Wielkiego tytułem dziedzictwa prawego.

Ostatni potomek dynastji piastowskiej słusznie też może uchodzić za właściwego fundatora miasta, gdyż jemu przedewszystkiem zawdzięcza Lwów swój rozwój wspaniały. A opierał się on na podstawach wonczas jeszcze tak rzadko spotykanych — tolerancji narodowościowej i wyznaniowej. Nie wolno nam zresztą ani na moment przepomnieć tej wielkiej prawdy historycznej, iż wielki budowniczy Polski nadał rozwojowi całego kraju zgoła swoiste piętno, wytyczył mu własne drogi rozwojowe przez uwolnienie od hańbiącego i tak bardzo groźnego jarzma suwerenności mongolskiej. Bez żadnej zgoła sofisterji moglibyśmy sobie zadać ważkie pytanie: jakby wyglądała przyszłość, rozwój tego kraju pod rządami bezpośredniemi Tatarów? Nie ostałaby się kultura chrześcijańska, ani wzmagające się węzły z Zachodem, a niewątpliwie zupełnemu pogromowi i zniszczeniu uległaby ludność i kultura ruska. Tym wielkim, niezapomnianym dobrodziejem kraju i całej ludności tu zamieszkałej był Kazimierz Wielki. Specjalnie Lwów zawdzięcza mu wszystko — poczynając od założenia na nowo samego grodu w miejscu dzisiejszego śródmieścia, gdy gród dawny czasów ruskich umiejscowił się na dzisiejszem przedmieściu Żółkiewskiem. Odrazu też jest Lwów stolicą Ziemi Czerwieńskiej. Dzięki wyjątkowej łaskawości królewskiej swego pana uzyskuje szereg podstawowych praw i przywilejów. One to przedewszystkiem warują stałość jego rozwoju i rozkwitu. Owe podstawy fundamentalne to prawo miejskie, uwidocznione w autonomji administracyjnej, której organem była rada miejska i jej przełożony wójt, późniejszy burmistrz miasta. Dalej idzie autonomja sądownicza, oparta na „sądzie ławniczym", wreszcie autonomja ekonomiczna, wyrażająca się w ustroju cechowym. Zjawiska to dotychczas niespotykane, niewidziane na tych wschodnich rubieżach. W nich też zawarła się ta siła olbrzymia, która w orbitę swych wpływów niepodzielnych musiała bez żadnych zgoła zastrzeżeń wciągnąć mieszkańców kraju. I odtąd nie bezduszną siłą, nie prawem miecza, ale prawem ducha i wyższości kulturalnej idzie ten wspaniały pochód polszczyzny na Wschód. Przoduje mu mowa polska najpierw w modlitwie Pańskiej, później w życiu codziennem używana. Z ołtarzy schodzi wkrótce na rubieże tej ziemi. Wyprzedza wszelkie wpływy polityczne, a taką siłą rozporządza, iż w czasie niedługim dosięgnie bram prastarego Kijowa. Ani jedna kropla krwi nie spadnie w tym jedynym procesie świata.

I nic dziwnego, iż słabe strzępy kultury wschodniej, bizantyjskiej, zachowywane na tych ziemiach musiały ulec i poddać się zwycięskim, świeżym, zdrowym a tutaj potąd nieznanym wpływom Zachodu, t. j. Polski. Jeżeli o nasze zagadnienie chodzi, to w ciągu dalszym — autonomja miast, życie miejskie jest zasługą niezaprzeczalną rozumnej, celowej polskiej myśli państwowej.

Zatrzymajmy naszą uwagę na chwilę jeszcze przy wspomnianych prawach i zagadnieniach ekonomicznych. Tutaj w szerszem już rozprowadzeniu należą: prawa odbywania jarmarków i targów w określonych ściśle terminach, a przedewszystkiem tak ważne prawo składu. Na jego to mocy każdy kupiec, wiozący towar przez ziemie Czerwieńskie, musiał zatrzymać się we Lwowie i towar swój wystawić na sprzedaż. Ten przywilej nadawał zatem miastu monopol handlu „tranzytowego" w całym kraju. Jeżeli do tego dodamy moment tak ważny jak samo położenie miasta — odrazu uzyskamy dowód znaczenia Lwowa jako ośrodka centralnego nietylko na wschodzie Rzeczypospolitej, ale i na bezkresnych przestrzeniach północno-wschodniej Europy. Handel zatem nadawał odrazu właściwe znamię samemu miastu, wytyczał kierunki jego dalszego bytowania. Zależne ono było — rzecz zrozumiała — od konstelacji politycznej, zresztą tak bardzo zmiennej. Jej wykładnikiem — dzieje miasta, wzrost lub upadek: okres rozkwitu do Warneńczyka, później okres zastoju spowodowanego przeciągłemi wojnami z Turcją, Tatarami i Wołoszą, i znów — w czasach Zygmuntowskich — *stricto sensu* od r. 1527 (odbudowa miasta po słynnym pożarze w tym roku) era świetności i dobrobytu. Ta ostatnia sięga do połowy w. XVII. Odtąd pożoga wojen i nieustannych napadów jakby złowrogiem nieszczęściem zawiśnie nad miastem na przeciąg siedmiu dziesiątków lat (aż do r. 1717). W tym nieszczęsnym okresie umiało miasto wydobyć z siebie tyle hartu, woli, ofiary i bohaterstwa niespotykanego, iż świeciło przykładem promieniejącym całej Ojczyźnie szerokiej. Wedle pięknego porównania dziejopisa, gród nasz niby arka Noego unosił się na falach tej strasznej pożogi i potopu w. XVII. Kiedy wszystko wokół ginęło i padało, Lwów jeden trwał niezłomny i niezwyciężony! Takim pozostał i w czasach już tak bardzo nam bliskich.

Wysiłek tak wydatny musiał w swych skutkach przywieść i zubożenie i upadek miasta w okresie królów saskich. Wkrótce potem pierwszy rozbiór zrywał tylowiekową łączność z macierzą polską, oddawał miasto pod obcą władzę, która tylokrotnie nosiła znamiona niewoli niezasłużonej. Ale zahartowany przejściami poprzedniemi miał Lwów tyle w sobie sił wrodzonych a utajonych, iż one pozwoliły nietylko przetrwać i te ciężkie terminy, ale wyjść z nich zwycięsko, unieść swoją dumę, honor i cześć nieskalaną.

A znowu na jedną chwilę przyjrzyjmy się obliczu narodowościowemu miasta. W pierwszych okresach — charakter wybitnie kosmopolityczny. Już przecie za czasów ruskich spotykamy we Lwowie Niemców i Ormian. Kazimierz Wielki ściąga przybyszów z Zachodu, więc przedewszystkiem Niemców, Polaków, Włochów, Węgrów, Anglików, a w dużej mierze Szkotów (dowodem ich liczebności jest własna ulica szkocka na miejscu dzisiejszej ulicy Boimów). Ze Wschodu znów nadciągają już liczniej Ormianie, Turcy, Tatarzy, Żydzi. A wszystko to — ten cały świat obcy — korzysta z legendarnej tolerancji polskiej.

Początkowo Niemcy mieli przewagę stanowczą, czego dowodem chyba najlepszym, iż urzędy miejskie posługują się językiem niemieckim, jak świadczą dochowane akta. Ale z biegiem czasu ulegają wzrastającemu żywiołowi polskiemu i asymilują się zupełnie w pokoleniu następnem lub dalszych. Nadają już swym potomkom imiona polskie, zaczem pójdzie polszczenie i samych nazwisk. Ten okres polonizacji czyż znowu nie jest walnym dowodem, iż polskość tutaj była panem niepodzielnym? Żadna inna nacja takich prerogatyw gospodarza i włodarza tej ziemi arogować sobie nie umiała i nie była w możności. A cały ten proces dokonywał się bez jakiegokolwiek, choćby najsłabszego nacisku, lecz z własnej woli i przekonania, co więcej: przywiązania do nowej ojczyzny — polskiej. Na początku w. XVI żywioł polski uzyskał już w mieście stanowczą przewagę i takim pozostał po dzień dzisiejszy. A na tę polskość składały się nietylko znamiona zewnętrzne, jak używanie języka w aktach publicznych, czy korespondencji prywatnej, ale cała kultura w tak pięknej i wszechstronnej ujawniająca się spuściźnie.

A teraz przejdźmy z kolei do stanowiska handlowego samego miasta. Rzecz zrozumiała, iż handel ten mógł się rozwinąć wówczas dopiero, kiedy Lwów wszedł w skład potężnego państwa polskiego, zaczem poszło zetknięcie się bezpośrednie z morzem czy też kolonjami nadmorskiemi.

Punktem przełomowym w dziejach Lwowa jest uzyskanie przez Polskę dostępu bezpośredniego do morza po pokonaniu Zakonu krzyżackiego. Jeżeli nadto uprzytomnimy sobie, iż Mołdawja i Wołoszczyzna — choć zmienne były koleje wzajemnego stosunku — w zasadzie pozostawały w stosunku lennym do Polski, co ułatwiało tak bardzo utrzymywanie komunikacji przez kraje wspomniane, to stwierdzimy fakt znaczenia nader doniosłego, iż Lwów leżał w środku wielkiej drogi handlowej, która łączyła Gdańsk z Konstantynopolem — w szerszem i wyraźniejszem znaczeniu: Morze Czarne i Bałtyckie. Rozejrzyjmy się teraz w konfiguracji tych dróg handlowych, jakie przez Lwów przechodziły poza szlakiem już podanym. Zacznijmy od łączności z Zachodem, skąd jednak płynęła kultura i tyle innych wpływów wciskało się na Wschód. A zmierzał ten szlak ku Krakowowi na Gródek, Przemyśl, Jarosław, Rzeszów i t. d. Z Krakowa droga ta miała już dalej dwa ważne odgałęzienia: pierwsze ku południowemu zachodowi przez Cieszyn najpierw na Morawy i dalej przez Wiedeń, przełęcze alpejskie, aż ku nizinom „słonecznej Italji". Droga to tak dobrze znana nietylko handlowcom, ale i dużym rzeszom naszych peregrynantów. Lwów utrzymywał, jak wiadomo, bezpośrednią łączność z Włochami, przyczem chodzi nam głównie o stosunki handlowe, przez co nie umniejszamy bynajmniej zjawisk i wartości innych, któremi Lwów także mógł się poszczycić.

Tędy przybywały do Lwowa przedewszystkiem wyroby tak wysoko rozwiniętego przemysłu włoskiego, a więc: sukna florenckie, weneckie aksamity, dalej szkła, galanterja tak łatwo znajdująca nabywców, wreszcie owoce południowe. Nie brakło i pokarmu duchowego w formie książki łacińskiej czy włoskiej lub obrazu pendzla włoskiego.

Druga odnoga zachodniego szlaku prowadziła przez Wrocław do północno-wschodnich Niemiec, do owych słynnych hanzeatyckich portów z Lubeką na czele. W dalszym ciągu uzyskiwano łączność z bogatą Flandrją, Francją i Anglją. Tędy szły do Krakowa i Lwowa przedewszystkiem piękne i oryginalne gobeliny, brabanckie koronki — wszystko niemal przedmioty zbytku. Z Francji i Anglji dochodziła przeważnie manufaktura. Towar niemiecki zaczyna się dopiero w XVII w. zjawiać; do tej pory nie znajdował chętnych nabywców, jako gorszego gatunku. Z biegiem czasu toruje sobie wstęp do warstw niższych i uboższych: konkurencyjną ceną zdobywał zbyt.

Nie wolno nam jednak zapominać o własnej już produkcji przemysłowej, która tym szlakiem zdążała do Lwowa. Na pierwszem miejscu godzi się położyć sukno. Wyrób stał bardzo wysoko, zapotrzebowanie było bardzo duże, czego dowodem chociażby krakowskie Sukiennice. Sukno to w okresie XIV do XVI w. znajdowało licznych odbiorców na całym terenie Rzeczypospolitej, a głównie na wschodnich kresach. Co więcej, szło ono poza granice kraju do Czech, Austrji i wschodnich Prus. Obok tego sprowadzano z Zachodu doskonałe płótno krośnieńskie. Zaczem szły wyroby inne, jak czapki i pasy, wreszcie wyroby z żelaza, jak pługi i kosy, sprzęt rolniczy i kuchenny; nie brakowało tam znanej wytwórczości słynnych płatnerzy krakowskich w postaci mieczy, włóczni, hełmów i całych zbroic. Kraj, żyjący właściwie w ciągłem pogotowiu wojennem, ujawniał wcale duże zapotrzebowanie tego zakresu.

Trakt handlowy wtóry prowadził na Lublin do Warszawy, a nawet bliżej — do Kazimierza nad Wisłą, skąd znacznie tańsza i wygodniejsza prowadziła droga wodna wprost do Gdańska. Tędy płynęły do Polski statki naładowane przedewszystkiem towarem flandryjskim, francuskim i angielskim, który poprzednio przychodził drogą lądową wyżej nakreśloną. Wobec dogodniejszej komunikacji wodnej — i tańszej zresztą — stosunki handlowe z wymienionemi krajami ożywiły się znacznie.

W przeciwnym kierunku na południowy Wschód podążał trakt trzeci. Wiódł on ze Lwowa przez Halicz, Czerniowce do Suczawy, gdzie kupcy lwowscy posiadali wielki dom składowy. Nie tu był kres; bardziej przedsiębiorczy element handlowy podążał do Akermanu przy ujściu Dniestru, do Kilii przy ujściu Dunaju lub do Kaffy na Krymie. Ta ostatnia znajdowała się w ręku Genueńczyków — potęgi morskiej ówczesnej Europy; Kilia zaś i Białogród — we władaniu Wołoszczyzny, który to kraj był lennem Polski. Ruch był tak silny i żywy, iż można było uważać te miasta za ekspozytury czy porty Lwowa nad morzem Czarnem. Z chwilą zajęcia ich przez Turków, a Krymu przez Tatarów, nastąpił zupełny niemal zastój w tych żywotnych stosunkach handlowych. Dopiero pokojowa polityka Zygmunta I wznowiła handel Lwowa, który obecnie podążał w innym kierunku, a mianowicie przez Gałacz do Konstantynopola.

A teraz z kolei przypatrzmy się jakości towaru wywożonego na Wschód. Kupiec lwowski wywoził wyroby otrzymane z Zachodu. Musimy to sobie uprzytomnić, iż dla Niemiec, Francji i Anglji droga przez Lwów była jedyną arterją komunikacyjną ze Wschodem. Zaczem podążał w te strony także i wyrób przemysłu polskiego. Droga morska okrężna była niemożliwa do użycia, gdyż miasta włoskie na morzu Śródziemnem pilnie i czujnie strzegły swego monopolu handlowego. Ten moment nadawał naszej drodze przez Lwów specjalną siłę i znaczenie. Ze Wschodu na odmianę wracał bardzo liczny i bogaty towar: więc owoce południowe, wina greckie, wyroby z cukru, jak np. sorbety, korzenie rozliczne. Dalej szły wyroby skórzane zbytkowe:

powodzeniem zajmuje się również Mateo Hernandez. Ostatnie kubistyczne próby w rzeźbie francuskiej nie wyszły poza ramy przejściowej, jednodniowej sensacji, zdolnej jedynie do uwodzenia głębiej z kulturą francuską niezwiązanych cudzoziemskich paryżan; z rodowitych Francuzów właściwie tylko Henri Laurens hołduje kubizmowi i to z wielkiem umiarkowaniem.

O klasycyzmie we współczesnej rzeźbie francuskiej mówić należy z wielką ostrożnością, zbyt często bowiem używa się tego słowa w sensie naśladownictwa antyku, co jak wiadomo prowadzi tylko do bezmyślnego, powierzchownego powtarzania utartych i przebrzmiałych formuł. W danym zaś wypadku mamy do czynienia z przejawem twórczej kongenjalności w stosunku do rzeźby greckiej, z którą łączy rzeźbę francuską wspólna, rasowa wprost predyspozycja do tworzenia sztuki typu klasycznego, na zasadzie oryginalnych współczesnych założeń. W ciągu wieków rzeźba francuska dała wiele przykładów genjalnego korzystania z cudzych doświadczeń, przy jednoczesnej wierności względem tradycji swego narodu i rasy. Współczesna rzeźba francuska zdobyła rzadko spotykaną zdolność syntezy i moc tworzenia nowych typów idealnej piękności. Rzeźba portretowa i pojedyncza figura ludzka jest narazie tą jedyną dziedziną, w której przejawia się jej duch klasyczny i monumentalny. Ale niedługo powinna wybić godzina podobnego rozkwitu wielkiej rzeźby pomnikowej i tematowej, która stanie się współczesnym odpowiednikiem fryzów Partenonu.

JULJUSZ STARZYŃSKI

JUBILEUSZOWA ROZMOWA Z ALEKSANDREM ZELWEROWICZEM

To jest tak. Marcowy zmierzch na oknie i na zmierzchu rozpostarta gaza — zamglona, wiotka i chwiejna — padającego śniegu. Siedzimy naprzeciwko siebie w wykuszu, podanym ku skąpemu, ale przejrzystemu światłu. Widzę w niem wielką wyrazistą głowę, podkreśloną grubo podbródkiem. Przechyla się charakterystycznie ku lewemu ramieniu, ale wnet, w każdej chwili jest posłuszna wewnętrznemu ruchowi. Chodzi za głosem jak cień, czy niby cień wodzi go za sobą. Przedzielony małym stolikiem myślę: trzydzieści pięć lat... I na objęty zmierzchem kontur żywego człowieka, na niespokojną głowę, na nieruchomy, ciężko opuszczony w fotelu korpus nachodzą tłumnie skojarzenia, nasuwają się jedne po drugich sylwety: Falstaff, *Chory z urojenia*, Tartuffe, bohater Czechowa, *Żywy Trup* Tołstoja, Ojciec *Marjusza*, Szambelan z *Jowialskiego*, Ambroży Jenialkiewicz...

— Moje związki z teatrem? — Zelwerowicz zaczyna mówić, patrząc przez chwilę na biało zasnute okno. — Najdawniejsze wspomnienie, które odnoszę do mego aktorskiego powołania, sięga ośmioletniego chłopca. Było to jeszcze w Lublinie, gdzie się urodziłem (1879 r.). Popadłem wtedy pod urok kapłaństwa. Służyłem do mszy z nienasyconą namiętnością, nieraz po sześć razy dziennie. Pamiętam księdza Kureczkę: egzaltowana, piękna twarz... On w poczciwości swojej brał to amatorstwo zbyt poprostu. Moja matka, bo miałem wtedy już tylko matkę i byłem sam jeden — także. Któż mógł się spodziewać? W domu stroiłem ołtarze, odprawiałem nabożeństwa, co ważniejsza: pisałem i wygłaszałem kazania. Potrafiłem dla tych praktyk pozyskać dość obfite audytorjum, złożone z kuzynów i kuzynek, mieszkających u nas „na stancji". To była moja pierwsza widownia i pierwsze objawienie tyranji słowa. Cała zabawa skończyła się niespodzianie i boleśnie: dostałem w skórę za świeczki do ołtarzyka, które kupiłem z wyłudzonych na inny cel pieniędzy. I odtąd jestem sceptykiem...

Zelwer opowiada szczegółowo, jak odbyło się to pierwsze rozczarowanie i śmieje się szeroko, potrząsając podbródkiem i brzuchem. Śmieję się też i myślę, że bez tych błogosławionych ciegów byłby może został księdzem, kanonikiem według wzoru x. Coignarda, nie aktorem.

— Drugie wspomnienie łączy się już ze szkołą rosyjską. Przerabialiśmy bajki Kryłowa. Jedną z nich: *Wół i żaba*, zadano do nauczenia się na pamięć. Wiedziony jakimś podświadomym instynktem, potrzebą udawania, odrobiłem zadanie po swojemu. Moi koledzy wydukali wierszyczek z przykładną monotonją, ja się starałem, aby w wole było jak najwięcej z wołu, w żabie ze skrzeczącej żaby — tu Zelwerowicz gra uciesznie swoją szkolną przygodę. — Skutek był opłakany. Belfer rosyjski wściekł się. Postawił pałę. *Zielwierowicz — szkoła eto nie tieatr!* — krzyczał do mnie. To chodziło długi czas za mną. Nie chciałem, nie mogłem wierzyć, że tak jest, że nie wszystko jest teatrem.

Nagle pod słowami chłopięcego wspomnienia zdradza się nuta melancholji, zasnuwa oczy, gasi uśmiech. Wspominam szekspirowskie słowa z *Jak wam się podoba*: „Świat jest sceną, mężczyźni i kobiety to aktorzy..."

—A potem? Jak się dokonał marjaż z teatrem? — podsuwam tok wspomnień.

— Wie pan, w Warszawie tamtych lat roiło się latem od teatrów ogródkowych. Tu gdzie jest teraz kino „Majestic", „Belleville", cyrk na Okólniku, w czasie wakacyj rozbijały namioty prowincjonalne teatrzyki i robiły konkurencję „Rozmaitościom". W cukierni Bliklego do dziś dnia istniejącej na Nowym Świecie — teraz nad nią płonie zielony neon — było *rendez-vous* aktorów. Chodziłem tam, zrazu zdaleka oglądać golone, fascynujące mię gęby. Za pośrednictwem kolegów ze Szkoły dramatycznej podglądałem teatr przez dziurkę od klucza. Jednych wakacyj między klasą 5-tą a 6-tą odważyłem się na czyn ryzykancki. Bez wiedzy matki, wbrew najsurowszym zakazom szkolnym, które zabraniały nawet uczęszczania do teatrów ogródkowych — zaangażowałem się do teatru po raz pierwszy w życiu. Teatr był rodem z Łodzi a prowadził go Michał Wołowski. Od niego dostałem pierwsze honorarjum: 15 rubli! Grałem w *Komedji omyłek* posłańca. Pamiętam — Zelwerowicz deklamuje z zadyszeniem i dziewiczą tremą stary, ulrichowski przekład—:

„Pani, Pani, nieszczęście,
Nikt cię nie ocali,
Drumjo i Pan swe więzy porwali..."

— Grałem jeszcze z Sylwją Jutkiewicz, późniejszą krakowską miłością Karola Estreichera, w jakiejś sztuczce krajowego chowu: *Wisus*. Z tego występu pamiętam dwie przygody z suflerem. Najpierw w nieprzytomnym, nowicjuszowskim zapale namiotłem mu w budę kurzu i trocin, że się rozkaszlał i rozklął. Potem wnosząc z Sylwją nakryty stół na pochyłą scenę, udarowałem go dwoma jabłkami—z drzewa. Wtedy nie dbano jeszcze o meiningeńską ścisłość realjów. Po jabłkach, które z hukiem gromowym sięgnęły suflerskiej głowy, były sińce. — Sielanka w „Wodewilu" trwała niedługo. Matka, dowiedziawszy się o mojem aktorowaniu, w strachu okropnym zjechała do Warszawy i odebrała mnie Wołowskiemu. Drugie przekroczenie zakazu skończyło się gorzej, całkiem źle. Dostałem — *wołczij bilet*. Pierwszego dnia wakacyj ustroiłem się w ubranie cywilne i czapkę uczniowską — co stanowiło szczyt bezczelności i szczyt brawury — tak ustrojony poszedłem do teatru ogródkowego. Pech chciał, że nie kto inny, tylko pedel gimnazjalny sprzedawał programy. Nazajutrz w dyrekcji gimnazjum na placu Trzech Krzyży, gdzie dziś gimnazjum Królowej Jadwigi, rozegrała się scena dramatyczna. Powiedziałem, co myślałem. Sangwiniczny dyrektor cisnął we mnie krzesłem. Przykucnąwszy ominąłem szczęśliwie cios, wziąłem matkę pod ramię i wyszedłem. Moja karjera szkolna w „nadwiślańskim kraju" była skończona. Z „wilczym biletem" dopełniłem gimnazjum w głębi Rosji, w Orle. Potem odrobiłem wyższą szkołę handlową im. Kronenberga w Warszawie — pozytywizm, Drogi Panie! — i jednocześnie dla siebie: szkołę dramatyczną pod kierunkiem Rapackiego i Szymanowskiego. Potem wysłano mię do Genewy na studjum nauk społecznych. Nygusowałem tam dwa lata, ale do licencjatu zostawał rok zaledwie. Coś mię zagnało na wakacje do Polski. Znowu Warszawa, znowu Wołowski, i zamiast wracać do Genewy — zaangażowałem się do Łodzi. Wogóle Łódź ma w mojem życiu jakąś szczególną rolę.

— Bezpośrednio po Łodzi był Kraków?

— Tak, po roku grywania wszystkiego, co popadło, dostałem cztery propozycje, także od Pawlikowskiego ze Lwowa. Wybrałem teatr Kotarbińskich. Dlaczego? Nie potrafię odpowiedzieć: może instynkt? Pobyt w Krakowie w pierwszych latach był snem na różach. Olbrzymia gaża: 400 guldenów, role, powodzenie. Zajął się mną Kamiński: dawał role, własnoręcznie charakteryzował, hołubił. Wiele mu zawdzięczam.

— Kamiński—podchwytuję.—Dziś wchodzimy w okres kultu dla Kamińskiego, Schiller widzi w nim patrona dzisiejszego neorealizmu. Niech mi Pan powie coś o człowieku i artyście.

Zelwerowicz daje mi odpowiedź daleką od bronzownictwa:

— Był to największy „djabeł", jakiego znałem. Może dlatego grał tak świetnie Mefistofelesa. W stosunkach z ludźmi najbardziej fantastyczny, nieobliczalny. Potrafił powziąć przyjaźń od pierwszego wejrzenia i równie niespodzianie, bez powodu się odwrócić. Tak było ze mną. Odrazu otoczył mię opieką, ale po czterech miesiącach przestał mi odpowiadać na ukłon. Dopiero w jakiś rok stosunki znowu same przez się wróciły do normy. Artysta? Olbrzymi. I gigant pracy. To, co robił, było rezultatem niesłychanego wysiłku. Studjował do najdrobniejszych szczegółów wszystko: maskę, gest, ubranie, każdy fałd, każdy efekt. *Bogatego wujaszka* widziałem w trzech z gruntu odmiennych opracowaniach, w jednem z nich, warszawskiem, grałem z nim razem. Ale w obrębie każdej wersji jedno przedstawienie od drugiego nie różniło się niczem, dosłownie niczem: ani jedną intonacją, ani jednym ruchem.

— Co Pan grywał w Krakowie?

— Przez pierwsze dwa lata komicznego amanta. Ileż ról! Jakie powodzenie! Ale poza tą aurą sukcesu jest to okres dość pusty. Niewiele co czytałem, nie wiele co mię pasjonowało. Miałem przyjaciół: Zawierski, Bończa—wielki aktor, tej klasy, co Jaracz i Junosza-Stępowski, intelektualista na 100%, wielka świadomość aktorska.

— Czy już wtedy zajmuje się Pan reżyserją?

— Tak, w trzecim roku Krakowa zostaję reżyserem i pedagogiem—z przypadku. Kiedyś przyszła do mnie, jako do „inteligenta" koleżanka—nazwiska jej już nie pamiętam—z rolą w jakiejś sztuce Przybyszewskiego. Żeby jej pomóc. Pomogłem—i tak się stałem generalnym pomagaczem. Zamieniło się to w formalną instytucję poza teatrem: w modne lekcje u Zelwerowicza, i w teatrze, gdzie zacząłem reżyserować, choć o reżyserji w naszem pojęciu jeszcze nie było mowy.

— A Wyspiański?—wyciągam na wierzch myśl, która natrętnie napierała się do góry, ciągnąc przypomnienie jakiegoś szkicu sytuacyjnego do *Wyzwolenia*, w którym Wyspiański własnoręcznie napisał nazwisko Zelwerowicza.

— Wyspiański... Choć byłem młokos, mogę mówić o stosunkach z Wyspiańskim. Mam gdzieś jego dwa listy. Pamiętam go, jak przesiadywał godzinami w naszej garderobie, zawsze milczący, krzywo uśmiechnięty, patrzący stalowemi oczami. Jak dziś to widzę; legendą, którą należy obalić, wydaje mi się to, co mówi Boy o świadomości, o woli Wyspiańskiego, rządzącej w jego teatrze. Wyspiański nie mówił nigdy nic. Pamiętam, gdy grałem Śwista w *Bolesławie Śmiałym*, niemal w przeddzień premjery zwróciliśmy się do Wyspiańskiego razem z nieboszczykiem Frączkowskim (Poświstem), pytając, jak się mamy ubrać. Wyspiański jak zawsze—tu następuje u Zelwerowicza nieopisana scena mimiczna—uśmiechnął się i bąknął: to obojętne. Ubrano nas też w jakieś bronzowe trykoty, wetknięto jakieś druty do łba. Coś niesamowitego. Podobnie w *Wyzwoleniu* Kosiński wystąpił w II akcie w „Kaiserrocku" i z laseczką, bo Wyspiański na pytanie co do stroju odpowiedział podobnie.



Aleksander Zelwerowicz

— Czy grał Pan jeszcze w innych sztukach Wyspiańskiego?

— W *Weselu* grałem Kaspra (później, po Kotarbińskim: Czepca). Jest to największy wstrząs, jaki wspominam w mojem życiu, jaki obserwowałem w teatrze. Trzeba przyznać, że zrazu aż do premjery nie rozumieliśmy nic. Tylko jedni śmiali się wgłos, drudzy—do nich ja należałem—nie rozumiejąc, wyczuwali jakieś niebywałe uderzenie w tych słowach. Na premjerze coś runęło. Nawet jacyś angielscy kuzyni państwa Axentowiczów, obecni w teatrze, nic nie pojmując uczuli, że ze sceny padł krzyk i zatargał do trzew. To była godzina naszego tryumfu wobec negatywistów: „a mówiłeś, że to nic nie znaczy". Powstała moda mówienia tekstami *Wesela*. Z Zawierskim doszliśmy do takiej wprawy, żeśmy prawie inaczej nie mówili, tylko cytatami i parafrazami. *Dziady* (grałem w nich: Księdza i Bajkowa, za Solskiego—Senatora) były dla nas także wielkiem przeżyciem. Całą tę próbę dramatyzacji, jeszcze nie inscenizacji, polskiego repertuaru romantycznego (fragmenty *Irydjona*, *Nieboska komedja*, robiąca już wrażenie potężne)—uważam za wielką zasługę Kotarbińskich.

— Z tego, co Pan Dyrektor mówi, wynika, że niedługo rozstał się Pan ze specjalizacją komicznego amanta?

— Tak, już w trzecim roku zaczęto mię przesuwać do ról charakterystyczno-dramatycznych. Tymczasem po pierwszym pogodnym i pustym okresie pobytu w Krakowie przyszły na mnie ciężkie przeżycia. Sytuacja prawie ibsenowska. Sprowadziłem własną, steraną matkę do siebie. Pamiętam to pełne emocyj instalowanie pierwszego własnego mieszkania na ul. Lenartowicza. Cóż, kiedy tam zaczęła się Jej i moja gehenna: ciężka, nieuleczalna choroba nerwowa, manja samobójcza i obsesja, że grozi mi niebezpieczeństwo. Z tem skojarzyły się sprawy osobiste. Gdzieś po wszystkiem dano mi do grania *Wujaszka Jasia* Czechowa. Grałem go sobą, zawarłem w nim wszystko, co przeżyłem i przecierpiałem. To był ten mój największy w owych rozrzutnych dla mnie czasach sukces aktorski. I jakby objawienie się samemu sobie.

— Potem przyszła Łódź?

— Zaoszczędziwszy trochę pieniędzy z pierwszej gaży, jaką pobierałem u następcy Kotarbińskich—Ludwika Solskiego, odważyłem się na własną imprezę: teatr polski w Łodzi. Pierwszy rok pobytu w tem mieście (1908/9), to najrozkoszniejszy okres mego życia i mojej pracy w teatrze. Gdyby mię kto zapytał, jak wygląda raj, odpowiedziałbym, że właśnie tak, jak owe pierwsze miesiące łódzkie. Świetni aktorzy, już wtedy asy: Jaracz (wstrząsający Ryszard III), Junosza-Stępowski, Grabowski, nieżyjący dziś: Osterwina, Bończa, Milewski. *Wesele*, pierwszy raz pokazane w Kongresówce, idące 59 razy zrzędu! I publiczność: dzień w dzień przyjeżdżały z Warszawy 3—4 wagony „inteligentów". Przychodziła też publiczność robotnicza. Szedł tam też *Irydjon* (42 razy), *Klątwa* (30 razy). Odważyliśmy się pojechać do Warszawy i w sali Filharmonji na improwizowanej scenie daliśmy 7 przedstawień *Wesela*. W okresie Wielkiej Nocy wyjazd do Petersburga z tym samym repertuarem. Tam nowe przeżycia idealnych zespoleń z widownią, kontakty z teatrem rosyjskim.

— Długo trwała ta teatralna sielanka?

— Niestety nie. Po roku przyszły jeden za drugim dwa pożary. Wszystko poszło z dymem. Po pierwszej katastrofie objechaliśmy „rzemiennym dyszlem" całą Kongresówkę, pokazując znowu *Wesele* (z górą 100 razy). Po drugiej klęsce wszystko się zawala. Idę na chleb aktorski.

— Do?...

— Do teatru Zjednoczonego na Bielańskiej 5, który prowadził dyr. Rychłowski. Tu reżyserowałem *Poskromienie złośnicy* (z dekoracjami Fr. Siedleckiego). Tu po raz pierwszy pokazałem w całości *Wesele* (74 razy)—z żadną sztuką w tym stopniu się nie zrosłem,—*Irydjona* (coś 37). Pamiętam, jak po *Weselu* przyszedł za kulisy stary Roland: „Zrobiliście coś niebywałego—mówił w przystępie szczerości—wstyd nam teraz, że siedzimy w tych francuskich sztuczydłach". W teatrze Rychłowskiego też niedługo mogłem popasać: opera zjadała, co zarobił dramat, wnet się zawaliło wszystko. Wszedłem, jako jeden z pierwszych, do Teatru Polskiego Szyfmana. Ale co o tem mówić, wszyscy to pamiętają.

— Niebardzo. Jest w tym czasie mało znany okres teatru zrzeszeniowego.

— Tak. Rok 1915/16. Z niego pochodzi *Wyzwolenie*, próba inscenizatorska na większą skalę, wykonana w okolicznościach szczególnych, w nastroju oczekiwania na wyjście Niemców z Warszawy, *Żywy Trup* Tołstoja, który nam zyskał 2½ gaży; *Paweł* Mereżkowskiego z Węgrzynem, *Błękitny ptak*, stanowiący bodaj najlepszy moment Frycza. Po sześciu latach w teatrze Polskim następują moje spóźnione *Wanderjahre*. Kraków, gdzie wystawiam *Pana Jowialskiego*—Zelwerowicz zapala światło i pokazuje na ścianie szkic dekoracyjny Pruszkowskiego; kiwa się na nim groteskowy bocian, chwieją się gruszki na wierzbie,—Łódź, znowu Warszawa: Teatr Bogusławskiego. W nastroju, w natężeniu entuzjazmu, w porozumieniu z widzem mogę go zestawić tylko z pierwszym okresem łódzkim. Nigdy nie przestanę go żałować.

— Gdzieś w tym czasie zaczyna Pan systematyczną pracę w zakresie pedagogji aktorskiej.

— Tak. Teraz mija 11 rok kierownictwa pierwotną szkołą dramatyczną przy Konserwatorjum Muz., dziś samodzielnym Państw. Instytutem Sztuki Teatralnej. Właściwie w związku z tą pracą pozostaje mój dwuletni wylot z Warszawy do Wilna. Prowadziłem tam Teatr Związkowy, wyprowadziwszy ze szkoły szczególnie zdolny zespół uczniów, jak Eichlerówna, Kamińska, Niwińska, Kreczmar, Pichelski, Kempa i i. Mam przeświadczenie głębokie i ugruntowane na obserwacji wielu lat, że Instytut, zwłaszcza dziś, gdy obok aktorskiego obejmuje także wydział reżyserski—nie może się obyć bez własnego teatru. Po trzech latach zamkniętych studjów uczniowie powinni pod naszym kierunkiem praktycznie pracować na scenie. W stanie obecnym wychodzą na świat bez okrzepnięcia niezbędnego, w anormalnych warunkach panujących w większości teatrów polskich degradują się i demoralizują.

Rozmawiając, dość niepostrzeżenie, dość automatycznie przeszliśmy do malutkiego gabinetu Zelwerowicza. Ta zmiana miejsca rozmowy, mówiąc scenicznie: zmiana sytuacji—jest jakby znakiem narosłej intymności. Poprzez słowa, poprzez wszystko, co mię w tych szczupłych ścianach otacza, przenikam w krąg najbardziej własnych spraw artysty. Poprzez małe biurko przelewa się w tej chwili powódź rozkładów jazdy, *guideów* muzealnych, ilustrowanych prospektów Włoch: tam wybiera się doroczna wycieczka słuchaczy Instytutu. Wśród papierów stoi malutki, staroświecki dagerotyp o szczególnym kolorze stężałej krwi: na nim mężczyzna, ubrany w czarną czamarę, o długich czarnych włosach, patrzy zaciekłemi, nieprzejednanemi oczami. Tak samo przez dziesiątki lat. To ojciec Zelwerowicza, powstaniec 63 r. i zesłaniec na Sybir. Na odwrocie czytam dedykację: „Czcigodnemu koledze Rotwandowi na pamiątkę mego wygnania—ofiarowuje Alexander Zelwerowicz. 16/28. II. 1864 roku, Czelabińsk". Na ścianie wisi fotografja Józefa Piłsudskiego z dedykacją dla Zelwerowicza-syna. I fotografja młodego marynarza—twarz jakby z Conrada lub z Pagnola—Zelwerowicza-wnuka. Teraz artysta mówi o rolach, „które dają szczęście".

— Tak; mam takich ról może z dziesięć: *Wujaszek Jaś*, *Interes przedewszystkiem* Mirabeau...

— Dlaczego?

— Bo tam jest człowiek, którego łamie los; oto nagle z potentata wychodzi *bidny*, przygięty do ziemi, zadławiony człowieczek. To mnie zawsze obchodziło najwięcej.—Co jeszcze? *Adwokat i róże*, *Papierowy kochanek*, Czepiec z *Wesela*, Cezary w *Marjuszu* Pagnola, Porfiry w *Zbrodni i karze*...

Zapytuję jeszcze o kreację aktorską, o sam *métier*. Tu Zelwerowiczowi, który zazwyczaj mówi łatwo, plastycznie, sugestywnie—trudno jest znaleźć prostą formułę. Nawraca do Kamińskiego. Ustala stosunek między intelektem i uczuciem w tworzeniu scenicznem i przeciwstawia się czysto intelektualistycznej kreacji.

— Buntowałem się i buntuję przeciw tej niezawodności mechanizmu, do jakiej Kamiński doprowadził swoją sztukę. Od natury byłem obdarzony: dobrze postawionym głosem, pamięcią, nigdy mozolnie nie zdobywałem ani rzemiosła, ani powodzenia. Lubię trochę improwizacji, bezpośredniości, żyję na scenie każdy raz na nowo, każdy raz osobno. To kosztuje drogo, ale też w tem jest jedyna „frajda"—ostatniem słowem Zelwerowicz załamuje patos wyznań.

Mówimy jeszcze długo. Z wstydliwością opowiada Zelwerowicz o swojem urojonem gospodarstwie rolnem, którem zaprząta swoją wyobraźnię od lat. Odkąd przeszliśmy do tego ciasnego, intymnego kątka, coraz gęściej osiada na jego oczach melancholja, na wydatnych, zmysłowych wargach gorycz. Mam nagłe dojrzenie dwoistości człowieka. W tem życiu, które od stwarzania ulotnej złudy sięgało do konspiracji i twardego społecznikostwa, w tej niezwykle rozpiętej polifonji jest jakiś przelewający się nadmiar witalności; aż w zupełnem urojeniu szuka ona ekspansji. Ale jednocześnie na jej dnie tkwi niepokój i niedosyt, rozczarowanie ludzi, którzy w największym zgiełku zostają samotni, w nieustannej czynności niewypełnieni.

Rozstaję się z Zelwerowiczem pod tem podwójnem wrażeniem: Rabelaisowskiej bujności, gargantuicznej, pantagruelicznej pożerczości, drapieżności życia—i jakiejś przenikliwej, gorzkiej, słowiańskiej zadumy nad sensem wszystkiego.

TYMON TERLECKI

T E A T R

TEATR ATENEUM: *Dzieje jednego pocisku*, w 3 aktach, według powieści ANDRZEJA STRUGA opracował A. Cwojdziński.

Podczas gdy w teatrze Comoedia w imię socjalizmu zohydza się powstanie listopadowe (przeróbka z *Kordjana i chama* Kruczkowskiego), teatr Ateneum wskrzesza w formie scenicznej jeden z najpiękniejszych pomników literackich, opiewający patrjotyzm socjalizmu, rewolucję z 1905, w której nowa, wstępująca w życie klasa społeczna bierze krwawy chrzest bojowy i zarazem narodowy. *Dzieje jednego pocisku* Struga dziś chyba są żywotniejsze i od histerycznej *Róży* Żeromskiego i od tromtadrackich utworów Daniłowskiego. W *Dziejach* są ludzie prawdziwi i los ich jest prawdziwy. Niema głównego bohatera, bohaterem jest pocisk, który krąży między ludźmi, aby temu, który go na chwilę posiądzie, użyczyć złudzenia siły i prowokować do czynu, bohaterskiego lub łajdackiego, czynu na miarę duszy chwilowego posiadacza. W sposób naturalny staje się ów pocisk głębokim symbolem, takim jak czapka niewidka, lub pierścień Nibelungów; przechodzi z rąk egzaltowanej inteligentki do rąk prawdziwych bojowców, potem do rąk bandytów, wreszcie dostaje go żandarmerja rosyjska i topi w Wiśle. Zamyka się w tej opowieści, zresztą bardzo przygodziarskiej jako lektura, — tragedja rewolucji z 1905, kiedy czysty wysiłek bojowy PPS wciąż musiał się odgradzać już to od esdeków już to od bandytów i powoli wygasał.

Coś z tej tragedji zachowało się i w przeróbce Cwojdzińskiego, która z pietyzmem trzyma się tekstu powieści. Może dla lepszego uwypuklenia przewodniej myśli należało akt ostatni wzbogacić nowemi elementami w porozumieniu z autorem? Doskonale wychodzi akt II i robi wielkie wrażenie. Ułożenie dekoracyj, które trzeba było pomieścić po kilka na jednej scenie, okazało się zręczne a gra artystów szczera i naturalna; oddawna nie widzieliśmy na scenie proletarjatu bez ukrytej poza nim piły marxowsko-komunistycznej.

KAROL IRZYKOWSKI

*

ZAŁOŻENIE TEATRU REPERTUAROWEGO W WARSZAWIE

Do lokalu T. K. K. T. zaproszono dziennikarzy, aktorów i literatów, i pp. naczelnik Zawistowski i dyrektor Szyfman wyłuszczyli i oznajmili im, że odtąd w Teatrze Narodowym przez kilka dni w tygodniu będzie funkcjonował „teatr repertuarowy" to znaczy, że powtarzać się będzie różne sztuki dawniej grane, które już to dzięki swej wartości literackiej, już to dzięki walorom inscenizacji i wykonania aktorskiego zasłużyły na to, aby stanowić kapitał żelazny, czy rezerwowy, sceny polskiej. Wzorem są „Komedja Francuska" oraz rosyjski teatr Stanisławskiego, a także sporo teatrów niemieckich miało lub jeszcze ma taki repertuar zapasowy (dawniej Burgtheater w Wiedniu).

Bardzo ambitny i obowiązujący zamiar. Według enuncjacji rzeczników T. K. K. T. taki teatr „zapewnia ciągłość kulturze teatralnej, zapobiega marnotrawieniu najpiękniejszych wysiłków reżyserskich i aktorskich, zbliża publiczność do literatury i do teatru, stanowi najlepszą szkołę dla nowych pokoleń aktorskich".

W sprawie tej ma zabrać na łamach *Pionu* głos przedewszystkiem główny nasz znawca p. Terlecki. Ja tymczasem notuję fakt powstania tego teatru, który po polsku możeby najlepiej nazwać — zapasowym (a może kto lepszą nazwę znajdzie?), zwrócę uwagę na to, ile wartości kulturalnych i artystycznych przepadło nam w Krakowie właśnie wskutek braku takiego teatru. Cała spuścizna teatrologiczna Wyspiańskiego jest w rozsypce i w ruinie. Zaledwie kilku jeszcze aktorów i reżyserów pamięta jego wskazówki. Maciej Szukiewicz, niedoceniony a świetny dramaturg krakowski, nawołuje oddawna do założenia muzeum Wyspiańskiego, przedewszystkiem w celu ratowania tej spuścizny. Możeby T. K. K. T. w chwili tak dla siebie przełomowej zrobiło przynajmniej piękny gest i zaopiekowało się ideą Szukiewicza? Aby regjonaliści znowu nie pomstowali na zachłanną Warszawę!

KAROL IRZYKOWSKI

Wystawa współczesnej rzeźby francuskiej

Za wystawę rzeźby należy się od nas szczera wdzięczność Francji.

Ukazała nam bowiem jedną z najpiękniejszych stron swej twórczości, zasiliła mocną dawką głębokiej kultury.

Ta wizyta dzieł sztuki pozostawi w Warszawie nietylko wspomnienie, ale trwały ślad.

Bo w Europie — obok Grecji — Francuzi posiedli w najwyższym stopniu tajemnicę ożywiania bryły duchowem tchnieniem. — Obcując z ich rzeźbami, przebywamy w atmosferze wzniosłości, pozostajemy w kontakcie z prawdą ponad-rzeczywistą.

Znalazły się tu w dużym komplecie (ponad 100 rzeźb i 43 rysunki) nietylko dzieła wyjątkowego talentu, ale i mocnego, walczącego ducha, dzieła-kryterja, do których można przymierzać głębię i wysokość innych dzieł naszej i nie-naszej epoki.

Więc: *Balzac* Rodina — ta nieforemna zda się bryła materji o rzucie bohaterskim, z której wyłania się dumna, płomienna, władcza głowa. Zamknięty w płaszczu, skupiony w sobie, odgrodzony od świata, twórca setek ludzi, znawca ludzkiego serca, monumentalny i wieczny, *pozostanie* przy nas, w nas — i żyć tu będzie, nieobecny — własność już nietylko Francji, ale i wszystkich



DEGAS Tancerka

tych, którzy go poznali; *pozostanie* budzący się z głębokiego snu niewiary *Wiek bronzu*, modelowany szeroko, prężący się wzwyż i gestem nawpół powitania, nawpół męki przyjmujący swe ludzkie posłannictwo; *pozostanie Syn Marnotrawny*, w rozpacznem kajaniu się tragiczny i porywający; *pozostanie* w mozolnem zgięciu ciała dojrzewająca *Zaduma* i udręczona twarz Barbeya d'Aurevilly — pozostaną te wszystkie głowy, odczute głęboko po ludzku, lirycznie — pozostanie Rodin, dwoisty, jaki był: barokowy i malarski, niepowściągliwy, rozwichrzony romantyk i równocześnie mądry, opanowany. *poszukiwacz formy*, czyniący *klasycznym* najbardziej nawet zawiły gest.

Obdarzyła nas Francja na „mgnienie" (trzy tygodnie wystawy — to chwila!) dużym szeregiem prac Emila Bourdelle'a, znanego nam niedokładnie z reprodukcji pomnika Mickiewicza — i może z głowy Beethovena. I oto mogliśmy się rozsmakować w bogatej imaginacji tego drugiego romantyka, w jego dynamizmie psychologicznym, w pełnej smaku archaizacji tchnących hieratyzmem posągów starogreckich. Zapamiętamy Madonnę Alzacką i figury dekoracyjne z pomnika Alveara, i tego przedziwnego bębna, w sobie podufałego *Malca*, pękatego Eroska o dumnej postawie przyszłego dyktatora, — ale nadewszystko zostanie w nas mojżeszowa głowa Rodina, rzeźbiona z impresjonistycznym rozmachem i pietyzmem gorącym przez ucznia i przyjaciela.

Mickiewicz? Antyteza Balzaca. Nie monument, lecz człowiek idący ze swą prawdą, wieszcz, ślepy na aktualja, naiwny, wierzący i szalony, z gestem *au-delà*. Pielgrzymi kij, rozwiany płaszcz, gołe kolana, — apostoł ludu bez państwa, *darzący* sercem, żarliwy i polotny.

Dobrze go odczuł Bourdelle, odczuł, jakgdyby był Polakiem. Jest tu siła i słabość — i ta nieobliczająca gotowość ofiary. Sentyment, gest, patos. *Słowo*. Wiele słowa. — Ale to nie monument.

Bourdelle jest bardzo literacki, przewyższa w tem nawet Rodina-symbolistę. Ostatni romantyk z XX wieku.

Dla poznawania Maillola nie potrzebujemy słów. Odrazu (poznał swe powołanie około 40 r. życia — przedtem rysował, malował, litografował, lepił, tkał — we wszystkiem pomysłowy rzemieślnik i technik) *zawrócił* ku formie, odrestaurował wielki styl klasyczny. Uspokoił szarpaninę i dynamikę gestu; okiełznał namiętność i kazał monumentalnym ciałom *żyć*.

Stoimy wobec jego rzeźb uspokojeni. Przywarły do ziemi mocnemi stopami, czerpią z niej, z gleby, jak Anteusz, siłę; nie dźwigają problematów, poprostu bytują, *trwają* mocne i obojętne. Milczą. Nie prowadzimy z niemi dialogu. Tu rządzą prawa równowagi, harmonji, rytmu. Płaszczyzny uspokojone, powierzchownie kuliste wtapiają się jedna w drugą bezszelestnie, bez oporu. Dla wywołania siły witalnej ciała wystarczy Maillolowi gigantyczny *tors kobiecy*, wspaniały w śmiałym skręcie, brutalny, niemal pulsujący krwią. Głowa, głowa współczesna kłóciłaby się z sensem jego *trwałości* — więc głowa i nogi precz! Zostaje tors, tułów. I tak trzeba. Maillol ma słuszność. Ten fragment żyje potężnie i monumentalnie. Czujemy w nim majestat materji. Maillol rewolucjonizuje rzeźbę jako klasyk.

I pokazano nam Despiau sławną Ewę, naiwną i niewidzącą, zakłopotaną i głupią, w doskonałym rytmie androgynicznego ciała i przemyślanym układzie głowy i rąk. Tego Despiau, który odrazu trafił na swoją drogę, nie popełniając błędów młodości, który posiada spokojną pewność i szybko osiągnął doskonałość. — Despiau — to także klasyk, o formach lżejszych, niż u Maillola, dający w *aktach* rytmy spokojne i harmonijnie powiązane płaszczyzny, w *portretach* subtelny a mocny pierwiastek psychiczny.

Znalazły się tu cztery rzeźby J. Bernarda o bardzo wykwintnym, zlekka manierycznym rysunku — jest to stylista, pełen smaku, uroczy, poszukiwany i naśladowany.

Poznaliśmy osobiście, *zobaczyliśmy*, tancerki Degasa, tego tragicznego artysty, dążącego uparcie i nienasycenie do doskonałości.

W dwóch bardzo charakterystycznych, a bardzo odmiennych rzeźbach (akt, popiersie Amerykanki) L. Driviera, ujrzeliśmy wielką skalę możliwości tego artysty, który „wszystkiego w rzeźbie próbował z powodzeniem".

Pokazano nam zwierzęta Pompona o wolumenach szerokich i ciężkich, o powierzchniach gładkich. („Pierze i sierść — jak gąbka, wchłaniają światło"). Pompon zaznał sławy dopiero w 67 r. życia. *Przedtem* mało się nim zajmowano. *Potem*, zasypywany obstalunkami, żył nadal w małej pracowni, rzeźbiąc przy lampce naftowej. Kochał zwierzęta. Był prosty i cichy, jak H. Rousseau — celnik. Umarł w 1930 r.

Pokazano nam Hernandeza, rzeźbiącego zwierzęta w twardym materjale (granit, dioryt). Widzieliśmy dzieła Wlericka, Gimonda, Landowskiego i innych, — i osobliwości; jak rzeźbę Renoira, Picassa, Déraina. — Przysłano śliczne rysunki Rodina, Bourdelle'a, Bernarda, Despiau. Gimonda.

Dużo, bardzo dużo. Piękna, intensywna, pełna treści wizyta.

N. SAMOTYHOWA

M U Z Y K A

FILHARMONJA WARSZAWSKA: Wielki Festival ku czci J. S. Bacha w 250 rocznicę urodzin. Międzynarodowy konkurs im. H. Wieniawskiego, zorganizowany przez Wyższą Szkołę im. Fr. Chopina Warsz. Tow. Muzycznego.

W tydzień po uroczystościach chopinowskich Filharmonja Warszawska czciła 250 rocznicę urodzin J. S. Bacha. Bach, o którym mawiał Schumann, czyniąc aluzję do nazwiska wielkiego twórcy, że powinien nazywać się nie strumyk, lecz morze, stanowi fenomen wyjątkowy w dziejach muzyki. Jego wielkość i absolutność przeciwstawia się naporowi zmian historycznych, rozbudza ten rodzaj podziwu, który bliski jest powadze religijnej czci. Ale ta wielkość staje się źródłem przykrych niebezpieczeństw, wymaga bowiem odpowiedniej kultury muzycznej, zarówno w sensie technicznej organizacji wykonania, jak i dostrojenia się postawy duchowej wykonawców.

Festival filharmonijny nie spełnił tego zadania i, powiedzmy odrazu, nie mógł go spełnić. W ocenie tego wieczoru trzeba jednak wyróżnić dwa momenty. Część pierwsza, obejmująca koncert brandenburski *G-dur* (orkiestra pod dyr. Mierzejewskiego), koncert na fortepian *F-moll* (wykonany na klawesynie przez p. M. Trombini-Kazuro), koncert na dwoje skrzypiec *D-moll* (wyk. W. Kochański i St. Tawroszewicz), wreszcie koncert *D-moll* na trzy fortepiany (wyk. M. Trombini-Kazuro, J. Lefeld, P. Lewiecki), leżała, teoretycznie przynajmniej rzecz biorąc, w możliwościach wykonawczych, jakiemi rozporządza Warszawa. Jeżeli zaś rezultat odbiegał dość rażąco od tego, czego spodziewał się zbożny słuchacz, nastrojony na ton uroczysty, to wina spada na organizatorów i wykonawców. Zbyt lekkomyślnie może potraktowali oni sprawę, nie wydobywając ze siebie maximum wysiłku, który, jeśli nie może zastąpić odpowiednio wysokiego poziomu, daje przynajmniej poczucie lojalnie spełnionego obowiązku kulturalnego. Krytyka jest jednak łatwa, w danym wypadku nawet bardzo łatwa. Ważniejszy byłby natomiast wniosek, który nasuwa to „zdarzenie". Oto Warszawę, niewątpliwie najwybitniejsze centrum muzyczne w Polsce, nie stać na wykonanie Bacha. Nie chodzi tu oczywiście o wypadki sporadyczne, lecz o kultywowanie wielkiej „domeny" muzycznej, jaką stanowi twórczość Bacha. Bach jest u nas „unieśmiertelniony" w szkole. Na wąskim z natury rzeczy wyborze jego dzieł kształci się sprawność techniczną i smak artystyczny uczniów. Do aktywnego jednak strumienia życia nikt jego wielkiej sztuki nie wnosi. Wymaga ona bowiem nietylko indywidualnego umiłowania i zrozumienia, ale i stałego zbiorowego wysiłku, atmosfery, utrwalającej fundament tradycji. Ten brak tradycji musiał odbić się decydująco i na wykonaniu oratorjum *Chwalcie Pana*, wypełniającego część drugą wieczoru. Panu St. Kazuro, który „zmontował" całość, należy się zasłużone uznanie za jego uporczywy wysiłek. Trudno jednak wymagać rezultatów lepszych od tego, cośmy usłyszeli. Warszawa nie ma chóru i nie miała go nigdy. Ani chórzysta, ani soliści, ani kierownik nie mają u' nas możności nabywania tego doświadczenia, jakie daje praca w wielkim zespole w wykonywaniu monumentalnych dzieł wokalnych. Imprezy doraźne, amatorskie uprawianie pieśniarstwa chóralnego, choćby najszerzej rozwiniętego w społeczeństwie, czego zresztą o Polsce powiedzieć nie można, jest pożyteczne, lecz nie wystarczające. Dopiero trwale i celowo zorganizowany ośrodek może z biegiem czasu podołać zadaniu. U nas jedynie katedralny chór poznański może pokusić się o wykonanie oratorjów Bacha.

Filharmonijny festival bachowski ze wszystkiemi swemi brakami ma diagnostyczną wartość, obnaża on w jaskrawy sposób słabe strony naszej kultury muzycznej. Kto szczerze myśli o tych sprawach, musi zawołać o potrzebę „planowej gospodarki", któraby wyrównała przykre dysproporcje.

Międzynarodowy konkurs im. H. Wieniawskiego zgromadził w Warszawie kilkudziesięciu skrzypków z całego świata, najmłodsze grono wirtuozów; jedni z nich mają już za sobą pierwsze kroki występów estradowych, inni rozpoczynają lub rozpoczną w najbliższej przyszłości swój „start" w samodzielnej karjerze artystycznej. Była to rewja sił, wyjątkowa nietylko ze względu na międzynarodową skalę rozpiętości, ale przedewszystkiem ze względu na wysoki poziom przygotowania uczestników. Wszyscy oni posiadali techniczne opanowanie instrumentu, to też zawody odbywały się w tej szlachetnej płaszczyźnie, gdzie indywidualne właściwości talentu wykonawcy i zalety szkoły decydowały o zwycięstwie. Z kilkudziesięciu zawodników jury konkursu wyeliminowało do rozgrywek finałowych 18 osób. Ostateczne rozstrzygnięcie konkursu było dla sędziów pod pewnym względem łatwe, z drugiej strony musiało nasuwać poważne trudności. Gra francuskiej skrzypaczki, 15-letniej Ginette Neveu, wewnętrzną dojrzałością, rozmachem interpretacyjnym i wyjątkową zdolnością ujarzmiania sali siłą swej indywidualności tak wysunęła się na czoło, że wynik uzyskania pierwszego miejsca nie mógł być wątpliwy. Również dwa następne miejsca nie nasuwały chyba poważniejszych trudności. Bez metaforycznej przesady można powiedzieć, że zdobyli je sobie doskonali skrzypkowie, choć różni indywidualnościami: Dawid Ojstrach, obywatel sowiecki — nagroda II i Henryk Temianka, obywatel angielski — nagroda III.

Na dalsze miejsca pretendowała już bardziej zwarta masa zawodników. Stosując bezwzględną miarę oceny, szeregowała się ta grupa bez uderzających różnic. Z drugiej strony prawie każdy z nich posiadał jakiś rys specyficzny, który trudno było omijać w lojalnej ocenie. Tak np. 13-letni B. Goldstein (Z. S. R. R.), 11-letnia Ida Hendlówna (Warszawa) lub 12-letni Józef Chasyd — dzieci, od których trudno żądać psychologicznego pogłębienia i siły tonu, zależnej w dużej mierze od warunków fizycznych, uderzali swem niezwykłem uzdolnieniem technicznem i wrodzoną muzykalnością. Dorośli natomiast, by wymienić Ljerko Spillera (Jugosławja, nagroda 5), Marję Luizę Sardo (Włochy, nagroda 6), Huberta Antona (Estonja, nagroda 8), posiadając te psychologiczne dane, mieli momenty słabsze, jeśli chodzi o stronę techniczną wykonania.

Również dała się zauważyć znaczna różnica ostatecznego efektu wskutek nierównej wartości instrumentów, na których grali wykonawcy. Uderzało to szczególnie w wystąpieniu Grażyny Bacewiczówny (Polska), której głęboka kultura muzyczna nie zdołała przezwyciężyć ubogiej nośności lichego instrumentu. Grająca po niej G. Neveu samem brzmieniem cudownego Stradivariusa usuwała w cień polską skrzypaczkę. Tak więc jury konkursu natknęło się na poważne trudności w ferowaniu swych wyroków i tutaj właśnie mogłaby nasunąć się dość zasadnicza dyskusja z ogłoszonemi wynikami. Trzeba jednak podkreślić, że jakiekolwiek inne rozstrzygnięcie nie mogłoby być bezsporne.

Szczęśliwą stroną konkursu było to, że sędziowie posiadali do rozporządzenia sporą ilość nagród (9), przyznając zaś 15 odznaczeń honorowych, mogli wyróżnić wszystkich, którzy na to zasłużyli.

Reasumując, trzeba stwierdzić, że konkurs się udał. Trud organizatorów, poważny wydatek pieniężny „amortyzują się" jako wzrost *prestige'u* Polski w świecie muzycznym. Spojrzmy jednak na konkurs z innej strony, porównajmy go choćby z omawianym powyżej festivalem bachowskim. Zestawienie to ukazuje rażące dysproporcje w naszym ruchu muzycznym, blaski i nędze. Blaski na zewnątrz, które zabiera zagranica, nędza — w domu. Tego rodzaju układ nie jest objawem żywotnych sił, lecz słabością. W naszem ubogiem życiu, będącem na dorobku kulturalnym, doraźna ekspansja sił na jednym odcinku musi się odbić uszczupleniem na innych. Konieczność wywalczenia sobie właściwej pozycji w gronie kulturalnych narodów usprawiedliwia te doraźne wysiłki. Z chwilą jednak, gdy efekt ten został osiągnięty, całą energję należy skierować na ulepszanie „domu", w którym tak wiele przecież jest jeszcze do dokonania.

ST. FURMANIK

Sto postaci radjowych w poszukiwaniu autorów

Dnia 8 marca zebrało się w wielkiem studjo Polskiego Radja — na zaproszenie dyrektora programowego, min. Franciszka Pułaskiego — około 50 osób ze świata literacko-artystycznego i radjowego na herbatce dyskusyjnej. Tematem wymiany zdań było zagadnienie słuchowiska radjowego, jako nowej formy artystycznej. Pokaz fragmentu dialogu radjowego w naturze i odtworzeniu mechanicznem, wykonany przez Jaracza i Brydzińskiego — był dla wielu zebranych nowym, przekonywającym przykładem tej formy literackiej.

Dyskusja była obszerna i ciekawa, lecz nawet w przybliżeniu nie wyczerpała tematu. Oświetliła tylko w nagłych błyskach pewne odcinki wielkiego frontu. Dyskusja ta powinna mieć dalszy ciąg: w druku i na podobnych zebraniach. Jednem z pytań wstępnych będzie, rzecz prosta, pytanie: Co to jest słuchowisko literackie? Co to jest „teatr wyobraźni"?

Starając się określić charakterystyczne znamiona słuchowiska, jako nowej formy pisarskiej i wykonawczej—spróbujmy najpierw ustalić podobieństwa i różnice z sąsiedniemi, starszemi rodzajami sztuki: dramatem *teatralnym* i sztuką *filmową.*

Teatr działa przedewszystkiem na *widza* (który jest zarazem słuchaczem). Wrażenia wzrokowe przeważnie uprzedzają wrażenie przyjmowane uchem. Z chwilą podniesienia się kurtyny, zaczyna działać na nas plastyka sceny, barwa, światło, dekoracja—zanim zdążymy wchłonąć pierwsze doznania słuchowe. Spojrzawszy na postać sceniczną, natychmiast—zanim poznamy ją z jej słów i działania—mamy zespół pojęć o niej, z jej postawy, rysów, kroku, ubioru. W radjo wrażenie optyczne odpada zupełnie. Istnieje tylko dźwięk. Dźwięk (słowo, muzyka, szmer) bierze tu na siebie cały ciężar zadania, którego mu nic nie ułatwia. W tem tkwi wielki niedostatek słowa radjowego i wielka jego siła. Z pełni wrażeń sceny tu pozostaje tylko jedno, ale najważniejsze: mowa, dźwięk wogóle. A więc nie teatr dla głuchoniemych (jakim był film niemy), raczej teatr dla niewidomych. A wiadomo, że skala odbiorczości, wrażliwość, wyobraźnia — są u niewidomego bez porównania bardziej rozległe i wysubtelnione, niż u głuchoniemego. To może dać pojęcie o skali możliwości mikrofonowych.

Najważniejszą więc różnicą między radjem a sceną i filmem — będzie: *brak elementu wizualnego.* Słuchanie dramatu teatralnego w ciemności. Wchłanianie odgłosów z filmowej taśmy dźwiękowej — bez filmu. Słuchanie utworu poetyckiego albo lektury—z zamkniętemi oczami. Cóż pozostaje? Mimo tych ograniczeń pozostaje to, co jest treścią, istotą wiersza, noweli, dramatu pisanego i dzieła pisarskiego: artystyczne *słowo.* Słowo, które dźwięczy, które żyje. Czytając nagłos we własnym domu tragedję grecką, możemy mieć pełnię doznań artystycznych, mimo że pozbawieni jesteśmy zupełnie wrażeń wzrokowych. Tamto wszystko (gest, dekorację, mimikę i kostjum) umieszczamy całkowicie w wyobraźni.

Stąd bliski wniosek, że odnowienie dramatu nastąpić może przez radjo. Wrócenie słowu jego właściwego waloru i należnej mu wagi. Odrodzenie kultury żywego słowa w całych pokoleniach wykonawców radjowych i słuchaczów.

Słuchowisko to też „dramat", o tych samych pierwiastkach, na których budowali poeci od starożytności do naszych czasów. Tu także *dzieje się* akcja między działającemi osobami, a nie wynika z opowiadania autora. W pewnej mierze jednak posiada radjo i znamiona epiczne. Prelegenta radjowego można porównać z owym dawnym rapsodem, deklamatorem eposu, opowiadaczem o dalekich krajach i sławnych czynach. On też pobudza fantazję słuchacza w najwyższym stopniu, absorbując tylko jeden narząd jego apercepcji: ucho. Lecz radjo jest czemś więcej. Radjo nie chce opowiadać, chce wciągać słuchacza w równoczesne przeżywanie, we współakcję. Pewien teoretyk niemiecki mówi, że radjo działa sposobem refleksyjnym, jako odbicie działań, zapomocą pośredniej formy, która—artystycznie biorąc—może wywołać efekty niesłychanie subtelne. Stąd słuchacz, który w teatrze zwykł przyjmować bez trudu dany mu w pełni obraz, tu—dzięki „wewnętrznemu widzeniu"—staje się współtwórcą dramatu...

Dochodzimy więc od dramatu teatralnego do wyłączności akustycznej. Wydaje się, w dzisiejszym stanie doświadczeń, że czynniki takie, jak odgłosy natury, gwary i szmery—będą zawsze stanowiły zupełnie drugorzędny element słuchowiska. Nadzieje, przywiązywane pierwotnie do tych rekwizytów dźwiękowych, zawiodły; wszelkie „maszyny akustyczne" poszły w kąt. Ale stało się to z dwóch jedynie przyczyn: z winy technicznych niedostatków radjofonji — i z powodu zaniku żyłki nowatorskiej, zmysłu eksperymentatorskiego u ludzi radja. Laboratorja dźwiękowe, szczęśliwie przed laty tu i ówdzie zainicjowane, muszą zahuczeć nowem życiem. W tej dziedzinie jest wszystko jeszcze do zdobycia. Doświadczenia takie nie mogą się jednak odbywać w nerwowym rozgwarze pracy programowej; odpowiednim dla nich terenem może być tylko zacisze uczelni. O tej ważnej sprawie, o konieczności stworzenia naukowych placówek wiedzy radjowej—napiszę innym razem.

Dziś pod tym względem jesteśmy jeszcze daleko w polu. Nie doszliśmy naprzykład do budowania słuchowisk bez słów. Film ma w swej historji przykłady nietylko scenarjuszy bez akcji i bez fabuły, ale próby całkowitej abstrakcji. Znacznie dalej posunęliśmy się w Polsce na polu stapiania muzyki ze słowem.

Słuchowisko literackie jednak (a o takiem tu mowa) wznosi się bez wątpienia z najważniejszego tworzywa, któremu na imię: DIALOG. Oto podstawa i materjał istotny. W dialogu wyładowuje się uczucie ludzkie, ścierają się przeciwności, przelewa się dynamika życia. A żywego napięcia, żywych konfliktów, życia—oczekuje słuchacz radjowy. Prawdziwym słuchaczem radjowym, wdzięcznym i podatnym—jest oddalony, w małem kółku zamknięty odbiorca, dla którego radjo jest uchem świata. Jeżeli pomyślimy, że słucha nas wiele tysięcy *jednostek*, przykutych do słuchawek i głośnika tak samo, jak czytelnik skupia się nad książką,—dojdziemy do wniosku, że mikrofon jest instrumentem wnikliwym, intymnym, kameralnym, bardzo osobistym. Odsłania więc szerokie horyzonty, w których słowo brzmieć i wybrzmiewać może daleko dźwięczniej i subtelniej, niż z estrady recytatorskiej, niż ze sceny teatralnej.

Twierdząc to, zakładamy wysoki poziom techniczny emisji, najwyższą subtelność modulacji i amplifikacji, które to czynniki niestety dziś jeszcze wielokrotnie szwankują.

Na drodze sztuki radjowej, zaraz u jej kolebki, stanęły pewne specyficzne przeszkody, które zahamowały jej rozwój. Pierwszą z nich była produkcja masowa. Conajmniej 250 słuchowisk rocznie (licząc w tem audycje dla dzieci, żołnierzy i t. p.)—oto fabryka o nadprodukcji zaiste przerażającej. Wyłoniły się przytem tendencje wypełniania wielkich luk w kształceniu szerokich mas. Stąd pojawiły się w repertuarze całemi chmarami najważniejsze dzieła naszej dramaturgji, beletrystyki i poezji—prawie bez wyboru i bez granic—przykrawane nieraz pośpiesznie i gwałtem wtłaczane w mikrofon. Zapanowała zasada niepowtarzalności słuchowisk. A więc 250 premjer rocznie, zapomocą pięciu, później sześciu rozgłośni Polskiego Radja. Tyle nie produkuje nawet dziesięć teatrów pracujących najpośpieszniej. Tak zdławiono sztukę radjową, ledwie narodzone niemowlę. Później, spostrzegłszy inflację, zredukowano wydatnie ilość słuchowisk—i podniesiono przez to ich jakość. Forma wykonawcza zaczęła się wyraźnie doskonalić. Ale jeszcze nie treść, jeszcze nie scenarjusze, choć i tu zapanował pewien ład.

Inną przeszkodą jest ścisła cenzura, którą radjo nasze samo sobie nałożyło. Autor i radjofonizator widzi dokoła siebie liczne kompleksy tematów niedostępnych (wymieńmy takie, jak aktualna polityka, swoiście zacieśniony zakres tematów erotycznych i społecznie „drażliwych", mogących urazić pewne stany, mniejszości, lub grupy społeczeństwa).

Główną przyczyną zahamowania rozwoju tej najmłodszej gałęzi piśmiennictwa—jest trwająca do dziś niechęć wybitnych autorów do pracy dla mikrofonu. Literat polski nie interesuje się radjem. Albo nie posiada wcale odbiornika, albo uważa go za sprzęt przeszkadzający mu w pracy, albo też boi się tej aparatury, jest podejrzliwy, nie chce pozwolić się wciągnąć w tajniki nowej dziedziny.

A więc mamy rosnące dziecko, coraz lepiej wygimnastykowane, o nieźle rozwijających się rękach i nogach, któremu jednakże brak—mózgu i serca.

Polskie Radjo szuka kontaktu z poetą i dramatopisarzem. Z oczekiwania przy okienku, kiedy zjawiać się zaczną w ogonku autorzy z grubemi zwojami rękopisów słuchowiskowych—radjo przechodzi do innej metody: brania autorów za rękę, wprowadzania ich do studja, zaznajamiania z sekretami tej alchemicznej kuchni—i zamawiania konkretnych prac.

„To chyba nie taka trudna rzecz pisanie scenarjuszy!" Oto zdanie pisarzy, które słyszy się dość często. Oto zarazem pierwszy błąd w ocenie nowego pola pracy pisarskiej. Największą, może jedyną poważną trudnością dla nowego pisarza jest przyswojenie sobie innych metod literackich. Napisanie scenarjusza jest pracą nie mniejszą niż napisanie sztuki teatralnej. Zważmy najpierw konieczność wielkiej koncentracji. Polska radjofonja uznaje dziś tylko słuchowiska nie przekraczające 30 minut czasu trwania. Autor słuchowiskowy musi być do pewnego stopnia wszystkiem: musi mistrzowsko operować dialogiem, musi mieć poczucie dramatyczne, musi być dobrym psychologiem indywidualnym i społecznym, musi mieć dar narracji i wybitne poczucie skrótu, musi umieć operować radjofonicznemi zmianami sytuacji, planami akustycznemi i całą gamą środków rzemiosła mikrofonowego.

Oto garść luźnych uwag o „teatrze wyobraźni", o tym wielkim lądzie, który oczekuje zdobywczej stopy literackich Kolumbów: licznych i znakomitych pisarzy. Stu bohaterów, pragnących przemówić do kroci tysięcy najwdzięczniejszych słuchaczów radjowych—poszukuje autorów.

WITOLD HULEWICZ

PRZYPOMINA SIĘ P. T. PRENUMERATOROM, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRZEDPŁATĘ NA DRUGI KWARTAŁ ROKU 1935.

KRONIKA

Ś. P. JAN MICHAŁ ROZWADOWSKI

Dnia 14 b. m. zmarł nagle Jan Michał Rozwadowski, profesor gramatyki porównawczej języków indoeuropejskich i jezykoznawstwa ogólnego w Uniwersytecie Jagiellońskim, były prezes Polskiej Akademji Umiejętności.

W puściźnie naukowej Zmarłego, bogatej nietyle ilościowo, co jakościowo, na czoło wysuwają się badania, dotyczące zagadnień ogólno-językowych, niektóre — zwłaszcza z zakresu semantyki i słowotwórstwa — o doniosłości wprost przełomowej *(Semazjologja, Wortbildung und Wortbedeutung, Ein quantitatives Gesetz der Sprachentwicklung)*: obok nich stoją roztrząsania, zmierzające do wykrycia pierwotnych siedzib Indoeuropejczyków i pierwotnych stosunków między poszczególnemi językami indoeuropejskiemi *(Praojczyzna indoeuropejska, O pierwotnym stosunku wzajemnym języków bałtyckich i słowiańskich, Stosunki między językami słowiańskiemi a irańskiemi, Stosunek języka polskiego do innych słowiańskich)*, dalej — studja etymologiczne i onomastyczne *(Quaestiones grammaticae et etymologicae*, obszerne i ważne *Studja nad nazwami rzek słowiańskich, Nazwy Wisły i jej dorzecza)*, wreszcie prace z fonetyki (*Der litauische Akzent, Przyczynek do fonetyki bułgarskiej)*, zwłaszcza zaś podstawowe opracowania głosowni opisowej i historycznej języka polskiego *(Szkic wymowy polskiej, Bulla z 1136 r. jako najstarszy zabytek jęz. polskiego, Historyczna fonetyka jęz. polskiego)*.

Był też zmarły uczony doskonałym popularyzatorem zagadnień językowych (feljetony *O zjawiskach i rozwoju języka, Ogólne zasady głosowni)*, w ostatnich zaś latach życia interesował się najżywiej ogólnemi kwestjami kultury, nauki, etyki, religji, psychologji i teorji poznania (*Społeczne znaczenie nauki, Nauka, religja i sztuka, Zjawisko dyzautomatyzacji i tendencja energji psychicznej, Co to jest filozofja?, Zasadniczy węzeł naszego życia i biegunowość poznania, Prawda życia)*.

Rozwadowski był nietylko znakomitym specjalistą w dziedzinie indoeuropeistyki, najwybitniejszym językoznawcą polskim i jednym z najgłośniejszych w Europie, ale także — a raczej: przedewszystkiem — człowiekiem na miarę niepospolitą, świetnym pisarzem, myślicielem głębokim i oryginalnym, humanistą w najwyższem tego słowa znaczeniu.

Notujemy tu tylko narazie olbrzymią stratę, jaką poniosła przez tę śmierć nauka europejska i kultura polska; obszerniejsza charakterystyka Zmarłego ukaże się w jednym z najbliższych numerów naszego pisma.

S. S.

*

PAUL TUXEN

Dnia 14 marca b. r. odbył się na Uniwersytecie Warszawskim odczyt Profesora Pawła Tuxena, znakomitego indologa z Kopenhagi. Indologja w Danji stoi już od dawna bardzo wysoko i szczyci się imionami tak wybitnych uczonych jak Fausböll i Trenckner. Badacze ci, których działalność naukowa przypada na zeszłe stulecie, zbudowali silne podwaliny dla dalszego rozwoju indologji. Główne ich zainteresowanie zwracało się jednak ku problemom południowego Pali-Buddyzmu i tej okoliczności należy przypisać fakt, że Kopenhaga stała się jednem z centrów filologji Pali. I profesor Tuxen zajmował się intensywnie zagadnieniami Pali-Buddyzmu, o czem świadczy ostatnie jego większe dzieło, poświęcone religji Buddy. Jest to rezultat długoletnich jego studjów i podróży naukowej do Indyj Zagangesowych, gdzie mógł się oddać dogłębnym badaniom współczesnych form Buddyzmu w Syjamie. Lecz sfera zainteresowań i działalności naukowej profesora Tuxena nie ogranicza się do samego Buddyzmu. Jest on nietylko buddologiem lecz także i przedewszystkiem indologiem w najszerszym zakresie tego wyrazu. Jest autorem monografji o Filozofji Yogi, pracy o Traktacie logicznym Tarkabhasza, rozprawy o wyobrażeniu duszy w religji wedyjskiej i t. d.

Dzięki tym i innym głębokim studjom i gruntownym pracom zdobył sobie prof. Tuxen wśród świata naukowego sławę znakomitego znawcy staroindyjskiej filozofji i historji religji.

Książki nadesłane do Redakcji

POWIEŚĆ

ANASTAZJA DREWNOWSKA: *Niewierny Tomasz.* Powieść. Warszawa (1935). Wydawnictwo Współczesne.

JADWIGA WOKULSKA: *Skarb w Ibrahimcach.* Wilno 1935.

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI: *Prawo do życia.* Powieść współczesna. Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej.

STELLA OLGIERD: *Znaki.* Powieść. Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej.

JĘZYKOZNAWSTWO

WITOLD DOROSZEWSKI: *Uwagi o ostatnim przekładzie Odyssei.* Warszawa 1934. Odbitka ze Sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego XXVI. 1933. Wydział I.

HISTORJA LITERATURY

BRONISŁAW CHLEBOWSKI: *Literatura polska porozbiorowa.* Z rękopisu wydał i przedmową poprzedził Manfred Kridl. Wydanie drugie przejrzał i dopełnił Leon Płoszewski. Lwów 1935. Wyd. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY—BIBLJOTEKA MŁODZIEŻY: 21. KAZIMIERA MUSZAŁÓWNA: *Pod olimpijskim sztandarem.*—23. GUSTAW MORCINEK: *Duńskie serce.*—26. HALINA GÓRSKA: *Chłopcy z ulic miasta.*—27. STANISŁAW MACHNIEWICZ: *W grobowcu Tut-Ankh-Amona.*—28. JANINA OSIŃSKA: *Na Jamboree.*—33. JERZY OSTROWSKI: *Polscy konkwistadorzy.*—Warszawa 1935. Gebethner i Wolff.

HISTORJA

EMIL LUDWIG: *Bismarck.* Przełożył Leo Belmont. Warszawa. Inst. Wyd. „Renaissance".

DR. JÓZEF RAFACZ: *Dzieje i ustrój Podhala Nowotarskiego.* Za czasów dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Warszawa, 1935. Kasa im. Mianowskiego — Instytut Popierania Nauki.

TOMASZ PARCZEWSKI: *Kronsztadt na tle rewolucji rosyjskiej.* Warszawa 1935. Kasa im. Mianowskiego — Instytut Popierania Nauki.

KAROL SIDOR: *Andrej Hlinka (1864—1926).* Bratislava 1934. Tlaczou Knihtlacziarne Sv. Andreja v Bratislave.

SOCJOLOGJA

FLORJAN ZNANIECKI: *Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości.* Lwów — Warszawa (1935). Książnica Atlas.

LEOPOLD CARO: *Prawa ekonomiczne a socjologiczne* (odbitka z *Przeglądu Powszechnego).* Lwów 1935. Bibljoteka Polsk. Tow. Ekonomicznego we Lwowie. Tom VII.

JAN ST. BYSTROŃ: *Człowiek i książka.* Z 12 ilustracjami. Warszawa 1935. Tow. Wyd. „Rój".

DR. ADAM STAWARSKI: *Z genealogji norm prawnych.* Lwów 1932. Odbitka z *Głosu Prawa.*

DR. ADAM STAWARSKI: *Prawo a życie.* Lwów 1932. Odbitka z *Głosu Prawa.*

WOJSKOWOŚĆ

WŁADYSŁAW DZIEWANOWSKI: *Zarys dziejów uzbrojenia w Polsce.* Z rysunkami St. Gepnera (31 tablic), E. Dziewanowskiej (7 tablic), K. Jodzewicza (6 tablic). Warszawa 1935. Główna Księgarnia Wojskowa.

PUBLICYSTYKA

ED-ED: *Hitler.* Przełożył Andrzej Magórski. Warszawa. Inst. Wyd. „Renaissance".

MUZEALNICTWO

KAZIMIERZ HARTLEB: *Muzea i wystawy czasowe jako czynniki rozwoju kultury artystycznej.* Kraków 1935. Wyd. Związku Muzeów w Polsce.

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI